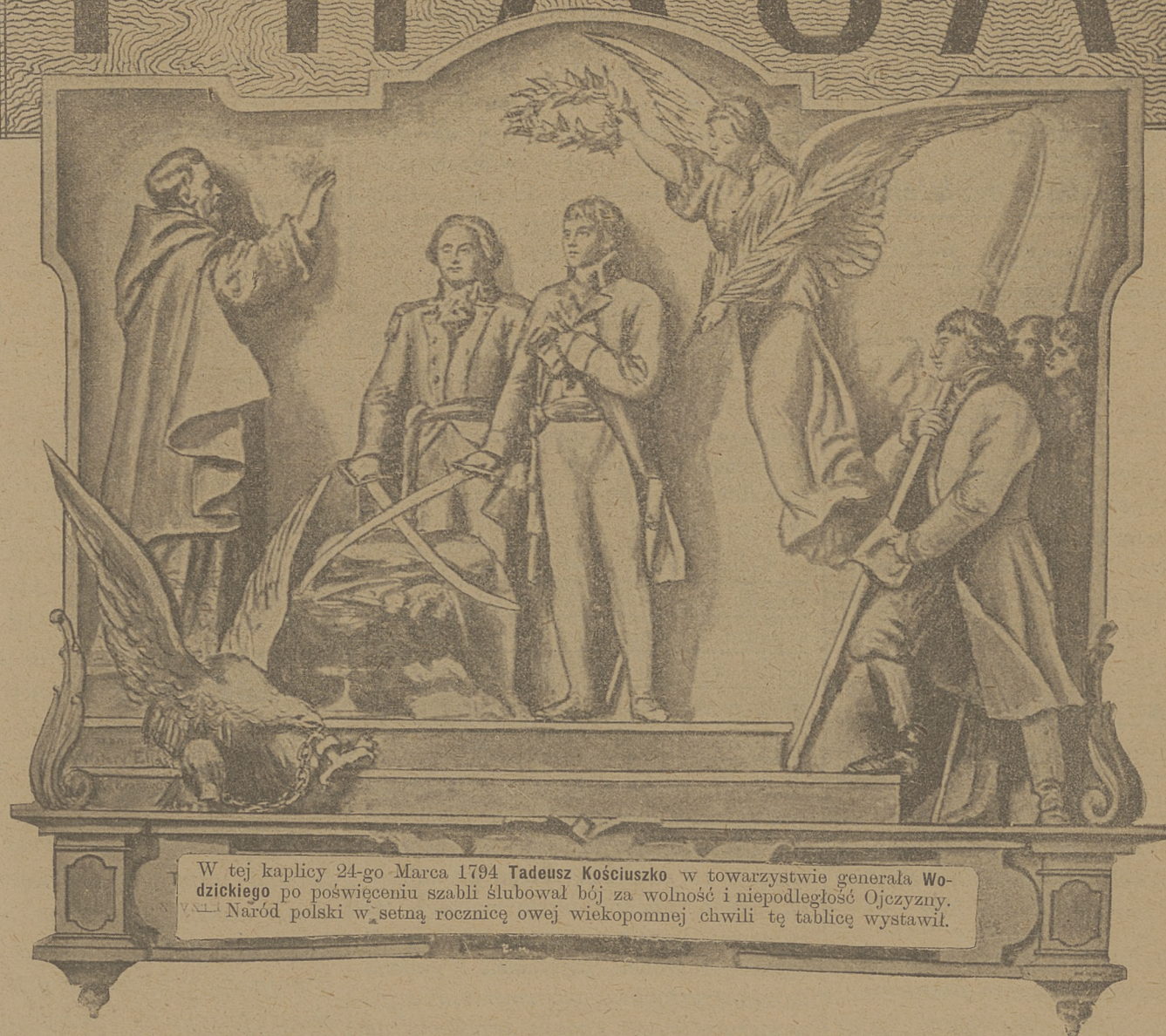


PRAGA

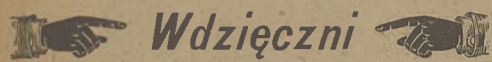


W tej kaplicy 24-go Marca 1794 Tadeusz Kościuszko w towarzystwie generała Wołkiewicza po poświęceniu szabli ślubował bój za wolność i niepodległość Ojczyzny. Naród polski w setną rocznicę owej wiekopomnej chwili tę tablicę wystawił.

Tablica pamiątkowa w kościele OO. Kapucynów w Krakowie.

Wskutek przygotowań do Nr-u Sienkiewiczowskiego który wydamy starannie, z licznymi ilustracjami i w kilkuarkuszowej objętości, ograniczamy dzisiejszy numer do 3 arkuszy.

„PRACA.“



Wdzięczni

za tak liczne a zawsze szczerze dowody gorącego poparcia, którego „Praca“ z wszech stron ustawicznie doznaje, postanowiliśmy zgotować

miłą niespodziankę

dla wszystkich czytelników

i to przez wydanie specjalnego numeru, poświęconego wyłącznie Sienkiewiczowi.

Będzie to w całym znaczeniu tego słowa piękne

Album Sienkiewicza

zaopatrzone bogato w śliczne ilustracje i zajmującą objaśniającą treść.

Podjęte przez nas wydanie albumu Sienkiewicza będzie tak wykwintne, że śmiało posłuży za ozdobę — nawet salonu, a dla przeciętnego czytelnika pozostanie

na lata

cenną pamiątką.

Pierwsze siły pióra złożą się na urozmaicenie treści albumu.

Wydanie przez nas specjalnego numeru poświęconego wyłącznie Henrykowi Sienkiewiczowi ma posłużyć zarazem jako

winny hołd

dla największego pisarza,

który składa Wielkopolska, ku uczczeniu 25-letniej działalności autora „Potopu“.

W numerze Sienkiewiczowskim określimy w słowach zwięzłych, sławę której autor „Trylogii“ u obcych zażywa, przez co stwierdza wobec świata twórczą siłę ducha narodowego i jego żywotność moralną.

Liczne notatki bio- i bibliograficzne, mnóstwo szczegółów o Sienkiewiczu, cały wieniec wrażeń, na które składają się wspomnienia osobiste, poglądy na sztukę, opowiadania o podróżach itd. itd., oraz liczne illu-

stracye zajmą obszerną i wielce zajmującą część albumu, które wydamy

już w pierwszych dniach kwietnia.

Prosimy więc nieociągać się z abonamentem, lecz już teraz zamówić „Pracę“ u listowego lub też pospieszyć albo posłać dołączony kwit abonamentowy wraz z jedną marką na pocztę, przez co uniknie czytelnik niemiłej przerwy w regularnym odbiorze pisma i przez pocztę otrzyma bezpłatnie zapowiedziane

→ album Sienkiewicza. ←

Mianowicie ciekawie przedstawi się strona ilustracyjna tego jubileuszowego numeru. Zobaczą czytelnicy reprodukcją słynnego portretu Sienkiewicza, Kazimierza Pochwalskiego, dalej obecny wizerunek autora „Rodziny Połanieckich“; reprodukcją z rzeźby w bronzie przez Romana Lewandowskiego; Henryka Sienkiewicza w wili i w parku St. Maur, w Łodzi na Marnie, w swojej warszawskiej pracowni literackiej; wreszcie fotografią Sienkiewicza z dziećmi. Dalej podobiznę dziadka pisarza, Józefa Sienkiewicza, podpułkownika artylerii byłych wojsk polskich, oraz czterech tłumaczy dzieł Sienkiewicza, a mianowicie: Curtina, Barreta, Verdinois i Prado.

Osobny dział ilustracji stanowić będą miejscowości, zamieszkiwane przez Sienkiewicza, oraz wizerunki jego warszawskiego mieszkania. Wreszcie liczne reprodukcje pamiątek ze zbiorów Sienkiewicza itd. itd.

Całość numeru będzie pięknem i starannie ułożonym cennem albumem — a raczej zbiorem przyczynków do biografii wielkiego pisarza, zawierającym wiele rzeczy absolutnie nowych i mogących zainteresować szerszy ogół.

Ponieważ sam jeden numer Sienkiewiczowski dla poszczególnego czytelnika przedstawiać będzie znacznie większą wartość od całokwartalnego abonamentu, przeto żywimy błogą nadzieję, że szanowni czytelnicy przyczynią się do tego, by i krewni, przyjaciele i znajomi licznie przystąpili do abonamentu „Pracy“, w którym to celu chętnie przyślemy, na żądanie każdą ilość numerów na rozdanie.

Każdy nowoprzybyły abonent otrzyma bezpłatnie wszystkie w druku będące powieści od początku.

Wydawnictwo „Pracy.“



Zaproszenie do przedpłaty.

„Zaproszenie do przedpłaty!“

Pisząc powyższe słowa mimowoli przenosimy się myślą po za graniczny słup kwartatu, aby spojrzeć, co też tam za ową miedzą, oznaczającą koniec starego, a początek nowego kwartatu, nas czeka. Ponieważ każdy z Czytelników musi odnowić przedpłatę, więc też każdy początek kwartatu oznacza dla nas chwilę obliczania naszych Przyjaciół.

Coprawda „Praca“ dotychczas nigdy jeszcze nie miała, dzięki Bogu, powodu spoglądać w przyszłość z obawą: „Czy też wszyscy zostaną wierni?“ — bo zastęp jej Czytelników stale się powiększał. Dlatego też, zliczając Abonentów naszych w początku każdego kwartatu, innego rodzaju uczuciom się oddajemy; wiemy, ilu mamy serdecznych zwolenników-przyjaciół w Poznaniu i w Berlinie, na Górnym Śląsku i w Prusach Zachodnich, w Westfalii i w Galicyi, znamy ich szczerą, oddaną nam sercem i duszą działalność, to też spostrzegając przyrost Abonentów, mówimy sobie w duchu: to dzielni nasi Przyjaciele na Śląsku — lub w Berlinie — nam przyśporzyli. I w duchu dziękujemy im wtedy, wierząc, że pomiędzy tymi nowo-zjednanymi też będą ludzie, którzy w pracy naszej pod zewnętrzną szatą gazeciarską głębszą społeczną i narodową ideę odnajdą i którzy popierać „Pracę“ będą, jako krzewicielkę tej idei.

I gdy otóż zliczamy przyrost Abonentów mimowoli serdecznem nam drga dusza życzeniem, aby tych właśnie, tych oddanych sprawie, a pojmujących naszą myśl przewodnią przyjaciół przybyło jaknajwięcej!

Spółczeństwa tak bogate, jak Niemcy lub Francya, mają na to, aby z prasy swej, ze swych gazet mieć dla siebie zabawkę niejako; mogą więc w gazetach upatrywać szmaty zadrukowanego papieru, którego celem jest informowanie o wypadkach dnia, znoszenie ploteczek i pomieszczanie interesujących opo-

wiadań. Ale na ten zbytek służenia wyłącznie małosłownym celom prasa polska pozwolić sobie nie może. Zadaniem, które ognistemi i niezatartemi zgłoskami wypisały losy naszej Ojczyzny w tysiącnych nieszczęściach kraju, w tysiącnych upokorzeniach, we łzach i krwi... — tem zadaniem jest coś więcej niż rozrywka. Tem zadaniem jest budzenie ducha narodowego, jest oświecanie śpiących pod względem obywatelskim mas ludu, jest utrzymywanie w niewygastej pamięci tej prostej prawdy, która nas żyjących z pokoleniami dawno zmarłymi w jedną całość, w jeden naród, łączy, że Polska jak ów feniks z popiołów swych własnych się odrodzi, a im więcej nieszczęść, im więcej smutku i bólów, im więcej przynębienia spada na kraj nieszczęśliwy, tem więcej powinno się znaleźć hartu i silnej woli — a one wszystko przelatują. Bo ludzie swe prawa, swe kodeksy i traktaty tylko na setki lat piszą, bać ich się może jednostka, ale nie ten, co zbiorowem życiem żyjąc z pogardą na dziesiątki i setki lat spoglądać może — nie naród! My nie zginiemy! Szukajmy tylko zawsze w pracy, w oświecaniu ludu, w miłości kraju — owego kilofa, zapomocą którego na bok odrzucić będziemy lichą warstwę ziemi, którą gromadzą koto nas wrogowie, sądząc, iż nas zakopią, a oczy nasze dziś taksamo jak oczy naszych następców za lat tysiąc będą spoglądać na świat z przeświadczeniem, że niesprawiedliwość ludzka zawsze znajdzie karę wobec sprawiedliwości dziejowej...

W jakim celu piszemy to dziś w „Zaproszeniu do przedpłaty“ — bo od tego przecież rozpoczęliśmy? Piszemy dlatego — bo zwracamy się tu do tych oddanych nam Przyjaciół-Czytelników; którzy w nas widzą nietylko pismo, takie jak mają Niemcy, ale i taki kilof, takie narzędzie, zapomocą którego odkopuje się nasz naród z warstwy oziębłości narodowej, germanizacji, ciemności duchowej, nędzy materialnej, którąby chcieli pokryć na wieki nas wrogowie. Z tymi to Przyjaciółmi,

którzy w ten sposób pojmują naszą pracę i nasze dążności, dobrze jest pogwarzyć czasem po przyjacielsku i rzec im: dziękujemy za Waszą pracę w przeszłości — prosimy na przyszłość.

Od początku przyszłego kwartatu będzie oto „Praca“ musiała się dzielić Waszemi sympatjami z

„Czytelnią Polską.“

Mamy mocną nadzieję, że sympatyi tych nietylko starczy na oba pisma, ale nadto, że zwiększać się będą te sympatye w miarę tego, jak my z naszej strony coraz więcej będziemy dawać dowodów, że przed żadną ofiarą się nie cofamy, tam gdzie chodzi o dobro sprawy.

Więc, mając na względzie czas odnawiania przedpłaty, zwracamy się do Was, wypróbowani przyjaciele „Pracy“ — rozpocznijcie agitacją między znajomymi i przyjaciółmi, zachęcajcie do abonowania!

Ciężki to rok dla nas Polaków się zapowiada. Hakatyści dokładać będą sił, aby urzeczywistnić swój projekt odebrania Polakom ziemi — a zatem społeczeństwo nasze od każdego obywatela ma prawo wymagać, aby dbał o oświatę i nie odosabniał się.

Zwracamy się i do tych Czytelników naszych, którzy zdala od kraju przebywając, nie mają z Ojczyzną żadnej może innej styczności, jak tylko przez „Pracę.“ Odzywamy się do nich: Nie zrywajcie tej wątłej nitki, która Was z krajem łączy — bo i Was kraj potrzebować może, a jakże głos jego do Was trafi, jeśli ją zerwiecie?

Wszystkim zaś życzliwym poleca się „Praca“ przy zmianie kwartatu staropolskiem słowem:

Prosimy; czem chata bogata — tem rada!

REDAKCJA.



H. K. T.

Jak krzyż jest godłem odkupienia i miłości bliźniego, jak gałązka oliwna oznacza pokój i zgodę, jak biały orzeł jest dla nas symbolem walczącej o wolność Oj-

czyzny — tak te trzy litery H. K. T. oznaczają wszystkie złe instynkty natury ludzkiej w ogólności, a natury pruskiej w szczególności, przeniesione na polityczną niwę. Są one godłem towarzystwa, które postanowiło walczyć z najniebezpieczniejszym w Europie narodem bronią jaknajgorszą: podstępem, denuncyacją, gwałtem, wyjątkowym prawem, bojkotem. Dotychczas historia nie zna przykładu czegoś podobnego, nieznanym jest jej fakt, aby w celu zorganizowania walki z klasą współobywateli utworzyło się towarzystwo, nietylko walczące w czasach pokoju, ale podburzające rząd do walki wewnętrznej.

Zartem ktoś powiedział, że H. K. T. — znaczy to: hańba kulturze Teutonów. I w samej rzeczy, jeśli cośkolwiek, to tylko te trzy litery będą na zawsze znakiem hańbiącym kulturę narodu, który przeciw kulturą swą chce przodować światu. Cyfra ta H. K. T. będzie na długo odgrywała wobec kultury niemieckiej rolę hańbiącego znamienia, rolę stempla, jaki wypalają złoczyńcom na ramieniu. I mogą się dziś Prusacy, ufni w swą siłę, uważać za cywilizowany naród, za jednostkę wśród narodów reprezentującą pewien dorobek cywilizacyjny — zawsze im na czołe pozostanie się ta cyfra H. K. T., jako znak hańby, jako znak, że w tym narodzie zakwitły i rozrosły się najbujniej chwasty, co tylko na błocie, zroszonym krwią niewinną i na krzywdzie ludzkiej wyrastać zwykły.

Rządów zaborczych bywało już dużo. I Anglia ciemniła podbite plemiona, i Austria krwawym mieczem tępiła marzenia o niepodległości wolnych niegdyś narodów, i Rosya to samo robi. Jęczały pod stopą zwycięzcy Węgry, jęczy Irlandya, Stany Zjednoczone w potokach krwi doszukiwać się musiały swej wolności, ale te wszystkie przykłady ciemności i ciemionych świadczą o stosunku władzy państwowej do podbitego narodu; zawsze to był rząd, który walił taranami w mury, za którymi zwyciężeni schowali ostatnie iskierki swej odrębności narodowej; zawsze była to władza państwowa, której ramię prześladowało, gwałciło, wynaradawiało nieszczęsne ofiary, ale nigdy nie był to obywatel wolny, niezależny — zawsze zaś urzędnik.

I to właśnie jest nowem w H. K. T., że ona jest z dobrowolnej

inicyatywy powstałem stowarzyszeniem, które z „zamilowania sztuki“ oddaje państwowej władzy te usługi, za jakie władza zwykła płacić monetą, ale nie honorowemi odznakami.

Wyobraźmy sobie człowieka, który pod wpływem nienawiści do swego wroga posunął się tak daleko, iż zaofiarował się spełniać funkcję kata, gdy jego wrogowi głowę mają ścinać — a będziemy mieli obraz stosunku, w jakim Hakata pozostaje do władzy państwowej i do nas. I dziwna rzecz zaiste czem myśmy mogli wzbudzić ku sobie nienawiść tak zaciekle, jakiej próby widzimy w postępowaniu Hakaty! Czy tem, że przywiązani jesteśmy do naszej narodowości? Czy jaki naród mniej był przywiązany do niej, gdy mu ją wydzierano? Czy może tem obudziliśmy nienawiść, że się bronimy? — W takim razie niech nam wolno będzie wyznać, że za ledwo cząsteczkę małą dokonaliśmy w swej obronie z tego, cośmy dokonać byli powinni.

Lecz jeśli w historycznym rozwoju Hakaty doszukiwać się zaczniemy pobudek tej nienawiści, to się przekonamy, że wykwitła ona z najwstrętniejszego uczucia, jakim dusza ludzka splamić się może — z uczucia nienawiści Bismarka ku nam za to, że nam nie dał rady. Tą nienawiścią zaraził Bismark swych następców, a oni idą, nieraz nawet nie zdając sobie sprawy, kto my jesteśmy i dlaczego bronimy naszej sprawy... Idą z wściekłością, jakiej człowiekowi udzielić może tylko przeświadczenie własnych błędów, których się wyprzec nie chce — idą z przeczuciem, że jeśli nie zmożą nas, to ich — zmoże hańba.

I nie czeka ich nic innego prócz hańby!

Vester.



Czy możliwa jest wspólna praca z Niemcami?

Każdy kto był na zebraniu towarzystwa antygruźliczego na sali Lamberta w początku bieżącego miesiąca, z pewnością opuścił zebranie z przekonaniem w duszy, że z Niemcami pracować wspólnie jest niesposób nawet na niwie tak odległej od polityki, jak zwalczanie suchot.

Dla czytelników, nie poinformowanych o przebiegu zebrania, nadmieniamy że pan Łubieński, mając na względzie równouprawnienie obydwóch narodowości,

które w dziele tak chrześcijańskim podać sobie powinny ręce, zaproponował, aby lekarze zakładowi władali też językiem polskim i aby uwzględniano wnioski w języku polskim podawane.

Na to przewodniczący, były naczelny prezes p. Willamowicz zaznaczył, że na wniosek Polaków nigdy się zgodzić nie może i nie godzi, a Polakom radzi, aby wniosek cofnięto. Żyd Merzbach radził, aby zaraz przejść do głosowania nad ustawami. Ponieważ Polacy byli w mniejszości, wniosek ich zatem upadł.

Gdy pan Willamowicz-Moellendorf złożył swego czasu funkcję naczelnego prezesa, jedna z gazet niemieckich „posądziła go“, że odznaczał się grzecznością wobec Polaków. Pan Willamowicz poprosił zaraz redakcyę, o sprostowanie i zapewnił, że nigdy wobec Polaków grzecznością się nie odznaczał. Widać to też z obrad towarzystwa antygruźliczego, że pan był prezes słusznie sprostował zdanie niemieckiej gazety. Ktoby chciał mieć dowód — niech sobie rozważy rozprawy towarzystwa antygruźliczego.

A więc Polaków wciągano do tej instytucji, zapewniano, że narodowość ich będzie najzupełniej uprawnioną, kieszeń polską eksploatowano ach! jak chętnie, — po to, aby za wniosek o równouprawnienie odrzec im: wasz wniosek do statutów wejść nie może.

Myśmy się już wielu rzeczom przestali dziwić, więc nie dziwimy się wcale, że pan Willamowicz po owych zapewnieniach w gazetach, że nigdy nie był grzecznym wobec Polaków, uznał się sam za odpowiedniego prezesa w towarzystwie, gdzie Polacy dużo stanowią członków; nie dziwimy się też, że pan eks-prezes bał się posądzenia o grzeczność względem Polaków, gdyby nie był zaoponował przeciw polskiemu wnioskowi; ale jedno nas wszakże dziwi: oto dziwi nas nieskończenie ten zanik poczucia prawa u obywateli niemieckich tak, iż nie czuli tego wcale, że Polacy nie o grzeczność, ale o swe dobre prawo się dopominali. Zaliste, trudno nie zadać sobie pytania, dokąd dojdziemy, jeśli szerzyć się będzie coraz więcej pomiędzy społeczeństwem niemieckiem wynikające z rządowej polityki wobec Polaków przekonanie, że ten, co niema po za sobą pięści lub bagnetu, nie ma żadnych praw i wszystko, co mu się przyznaje, powinien za łaskę uważać.

Pan Willamowicz, gwałtownie opierając się wnioskowi, czynił to może poniekąd z przyzwyczajenia, nabytego na urzędzie, — ale skąd się wzięła w obywatelach poznańskich niemieckich ta pohopność do usunięcia języka polskiego z przynależnego mu prawem terytorium? Czy sam takt nie nakazywał uznania ję-

zyka polskiego, skoro Polacy byli dobrzy do płacenia?

Żyd Merzbach z niesłychaną pohopnością chciał zagłuszyć swemi wnioskami wniosek Polaków, składając jeden dowód więcej, jak giętki kark ma plemie, z którego pochodzi.

I tak się znaleźli wszyscy godni siebie mężowie: sfera urzędnicza z niemieckiem zapatrzonym w Hakate jak w słońce mieszczaństwem, a obok nich też — Niemiec wschodniego typu, którego przodkowie byli też — Polakami, póki Polacy mieli władzę i zamożność. — I jak ci panowie mogli liczyć na współpracownictwo Polaków? — Rzucamy im to pytanie, widząc, że i im zdałby się zakład leczniczy, ale nie taki, co by wyleczył ich z bakcyli gruźliczego. Bo oni chorują na bakcyli — hakatyizmu.

N. N.



Polityczne uświadomienie ludu polskiego.

Polityczne uświadomienie ludu polskiego jest dziś jednym z najbardziej palących zadań naszego społeczeństwa. To też ze szczerem zadowoleniem i serdecznem uznaniem witać należy każdy objaw, świadczący, że uświadomienie to posuwa się naprzód. A jeśli się ono posuwa — to dzięki tym, którzy dokładają starań, aby w słowie żywym, lub pisanem — na zebraniu, na wiecu, lub w gazecie krzewić wśród naszego ludu poczucie obowiązków patryotycznych, świadomość praw i krzywd, rozpoznanie świętych celów, których żaden Polak się nie wyrzeknie.

Skoro mówimy o wiecach, wypada tu zaznaczyć, że trafne rozpoznanie doniosłości wieców pod tym względem przypadło w udziale t. zw. jeneralnemu wiecowi w Poznaniu. Wskazał on niejako drogę, którą każde miasteczko, każda wioska postępować powinna. I nasza redakcyja szczęśliwą się czuje, że w szeregu inicjatorów tak pożytecznego dzieła sprawie naszej przysłużyć się mogła.

Idąc torem wskazanym przez wiec poznański, odbyli obywatele kościańscy wiec, którego powodzenie usprawiedliwia wszelkie nadzieje. Na długo przed rozpoczęciem wieca zapelniała się już obszerna sala hotelu Victoria w Kościanie. Przybyły na wiec masy ludu z okolicy, dając najlepszy dowód, że lud ten odczuwa potrzebę wspólnego radzenia, wspólnego omawia-

HEKATE.



Z mytologii greckiej.

Starożytni Grecy czcili Hekate jako straszne bóstwo podziemne, dziecię Tartaru czyli piekiel. Wyobrażali ją sobie w postaci o 3 głowach: konia, lwa i suki, z pochodnią w jednej, a mieczem i toporem w drugiej dłoni; z węzami zamiast włosów i nóg, otoczoną zgrają czarnych kudłatych psów.

Posągi jej stawiano na rozstajnych drogach. Według Diodora była to trucicielka, chciwie polująca na ludzi i zwierzęta. Na nowiu lud ze strachu składał jej ofiary z podlejszych pokarmów.

Podobno skradła matce puszki z bielidłem i przed karą uciekła. Splugowioną Jowisz rozkazał uznać za bóstwo podziemne. W Rzymie zwano ją Dea feralis. — Liczba 3 — to jej znak.

Szczegóły powyższe o tej władczyni państwa cieniów czerpiemy z encyklopedyi Orgelbranda i tam też ciekawych odsyłamy. Z. S. St.

Władczyni cieniów — Hekacie greckiej!

Władczyni cieniów i dziś żyjesz jeszcze
 Siejesz zniszczenie i trwogę dokoła —
 Kędy spojrzysz rzucisz smę złowieszcze do
 Tam żal i smutek spada na czóło,
 Ale przed blaskiem twej groźnej pochodni
 Drzą dzisiaj tylko podli i niegodni. —

Błędzisz po świecie z poboczną swą strażą,
 I jadem kaszasz myśl szlachetną, wielką.
 Tych co potędze twej oprzęd się ważą
 W proch chcesz zamienić ludów truci-
 [cielko,

I to co szczytne, co pełne zapału
 W przepaść chcesz rzucić — pełna sama
 [kału.

Mieszkanko piekiel, Hekato podziemna
 Wstap, wstap na wieki w czeluści otchłanie,
 Niech imię twoje noc pokryje ciemna,
 Niechaj po tobie nic nie pozostanie
 Oprócz przekleństwa co twą drogę znaczy,
 Której ci ludzkość i Bóg nie przebaczy.

Marya Sokolnicka.

nia spraw politycznych bieżących. *Takie wiece — to najlepsza odpowiedź ministrom pruskim, którzy twierdzą, że to inteligencja uprawia agitację i sztucznie wzbudza ruch antyrządowy.* Ten ruch wynika wprost z duszy ludu, on jest świadectwem, że lud nasz już nie śpi, że rozumie i czuje polityczną zbrodnię, jaką przez niedochowanie zaprzysiężonych Polakom przyrzeczeń co do języka i zachowania narodowości rząd pruski popełnił. Tak jest! Ten lud czuje to i rozumie — i chce radzić nad swoim losem. *Tego ruchu nikt nie wstrzyma — jeno dłoń sprawiedliwości, nikt pozatem!*

Przewodniczący wieca udzielił głosu posłowi, panu Stef. Cegielskiemu. Cieszy nas niewymownie, gdy widzimy, że poseł Cegielski staje zawsze na posterunku, gdy tego zajdzie potrzeba. Nie chcemy tu o innych posłach mówić, zaznaczyć jednak musimy, że nazwisko posła Stef. Cegielskiego tak często się spotyka w sprawozdaniach wszelkich zebrań i wieców, że powinno by to już samą siłą kontrastu zachęcić innych jego kolegów do naśladowania. Słusznie powiedział poseł Cegielski, jako mówca na wiecu kościańskim, że główne zadanie posłów leży tu w kraju, nie zaś w Berlinie. I zapewniamy, że jedna mowa w kraju na wiecu lub zebraniu wyborców zrównoważy dziesięć mów w sejmie lub parlamencie, mów, których słucha, ziewając, znieprawiona rządową polityką antypolską parlamentarna klika.

Mówca też dobitnie zaznaczył, jaki wpływ jego zdaniem mają wiece na rozwój życia publicznego u nas i w kilku silnych a trafnych słowach skreślił obraz naszych stosunków politycznych, których kwintesencją jest konieczność budzenia politycznego warstw ludowych. *Dziś już nie jednostki, ale ogół wystąpić musi w szranki, aby bronić nigdy nieprzedawnionych praw narodowych naszych.*

Po tych silnych swą prawdą i życiem słowach przeszedł mówca do skreślenia obrazu spraw parlamentarnych, który zakończył wzmianką o możliwości rozpisania nowych wyborów. Przemówienie swe zakończył apelem do samopomocy w najrozleglejszym tego słowa znaczeniu.

Jednym z następnych mówców był siodlarz p. Malkiewicz, który w jędrnych a opartych na jasnym zrozumieniu sprawy zdaniach na-

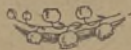
piętnował wyniki pruskiej szkoły i pruskiego systemu wogóle. „Rząd jest odpowiedzialny za tych wszystkich zblakanych, których liczba się zwiększa — mówił p. Malkiewicz — bo rząd sprawił, że szkoła nie dopełnia wobec społeczeństwa swego obowiązku wychowawczego“. Litania win rządu długą by była, gdybyśmy się nad tem zastanowić chcieli; w słowach mówcy znać było, że on się nad tem zastanawiał i o wartości rządu należyte zdanie sobie wyrobił.

Nie chcąc ograniczać się do prostego sprawozdania, pomijamy inne przemówienia*), kończąc życzeniem, aby co rychlej gdzieindziej wiec znów urządzono, bo każde słowo wiecowników pada na żyzną glebę, a okrzyki, brawa, słowa protestu i oburzenia, jakich nasłuchać się można na każdym wiecu, są powodem, że słuchacze pojmują wszystko i głęboko zachowują sobie w pamięci.

Po takim posiewie spodziewać się można pięknych owoców. Każdy wiec staje się jednym z licznych ogniw, które coraz ściślej wiążą wszystkie stany, wiążą cały naród i opasują pierścieniem poczucia krzywd i celów wspólnych, aby systemowi rządowemu przeciwstawić zwarty mur — mur politycznej samowiedzy, o który rozbijają się germanizacyjne wysiłki.

Niech żyje wiec następny!

Obecny.



Wiec polski w Berlinie.

Życie kolonii polskiej w Berlinie obecnie spotęgowanym pulsem bije dzięki zabiegom tych, którzy zachęcają do wspólnej pracy społecznej i do zachowania narodowości.

Smiało rzec można, że dawno już nie było wśród kolonii polskiej tylu dowodów żywotności, jak w roku bieżącym. Na każdym kroku widzimy pracę społeczną i dodatnie jej wyniki. A choć może inteligencja mniej w tej pracy bierze udziału, niż by to było obowiązkiem, tem większa tylko zasługa tych, co nie zrażając się żadnymi przeciwnościami, wysoko dzierżą sztandar narodowy i do walki z germanizacją, do zachowania emigracji krajowi, prowadzą.

Jedną z najlepszych broni, jakimi wzbudzić można wśród tutajjszych Polaków poczucie patryotyczne, jest żywe

słowo, jest zachęta bezpośrednia, jakiej objawy tylko na wiecach spotykamy. Ubiegłej niedzieli odbył się tu wiec polski w sprawie wychowania dzieci polskich na obczyźnie. Wielka sala u Buggenhagena zapełniła się znowu po brzezi — najlepszy to dowód, że tutajjsi Polacy chętnie gotowi uczęszczać na wiece, choćby i co parę tygodni, w krótkich odstępach czasu. Organizatorowie wieca dopięli celu, bo pleć żeńska była niezwykle licznie reprezentowana, a właśnie chodziło o oddziaływanie na matki-Polki. Przewodniczył poseł Głębocki, pierwszym mówcą był p. Berkan, który trafnie zauważył, że polskie wychowanie dzieci, byłoby w większości wypadków zapewnione, gdyby tylko Polacy przebywający w Berlinie, więcej chcieli dbać o utrzymanie swej narodowości i nie dawali dzieciom złego przykładu. Prawda, że wpływy otoczenia sięgają daleko i germanizują dzieci, ale stokroć większy uszczerbek ponosi narodowość polska przez niedbałość samych rodziców. Mówca ostro napiętnował postępowanie tych rodziców, którzy chętnie widzą, jak dziecko się germanizuje, sądząc, że gdy przerobi się na Niemca, lżejszą będzie miało z czasem walkę o byt. Podczas tego przemówienia rozdzielano w sali pomiędzy obecnych numery okazowe „Szkółki dla dzieci“, pisma wychodzącego w Poznaniu.

Jeden z następnych mówców, p. Janiszewski zwrócił się z gorącym apelem do rodziców, aby wpajali w dzieci poczucie godności narodowej i tłumaczyli dzieciom, że swej narodowości zapierać się, ani się jej wstydzic nie należy. Przemówieniem swem p. Janiszewski istotnie dotknął bardzo bolesnej rany w życiu kolonii polskiej. Ponieważ w Berlinie marnuje się bardzo dużo Polaków, dużo się zatem wytwarza stołecznej hołoty, która na każdym kroku przynosi ujmę narodowości polskiej. Wskutek tego Niemcy w niższych klasach mają jaknajgorsze wyobrażenie o Polakach. P. Janiszewski zwrócił wreszcie uwagę rodzicom polskim, aby zachęcili swe dzieci do otwartego przyznawania się w szkole do swej narodowości. Bardzo często się zdarza, że w szkołach ludowych berlińskich nauczyciele pytają dzieci o narodowość, dzieci polskie rzadko się przyznają do swej polskości i dopiero nauczyciel zapytywac się musi, które z dzieci mówią po polsku, bo inaczej prawdy nie dojdzie. —

Poseł Głębocki zwrócił uwagę wiecowników, że powinni się domagać, aby przygotowanie dzieci do komunii odbywało się w szkole w języku polskim. Przy wszystkich obrządkach duchownych, a więc przy spowiedzi itd. rząd ze względów politycznych musi ustępować wymaganiom w sprawie języka ojczyźnego,

*) Piękną mowę posła Brodnickiego umieścimy w następnym numerze. — Przyp. Red.

należy więc skorzystać z okazji. Zaraz też zebrał się komitet, któremu starania w tym kierunku poruczono.

Nowością było publiczne wystąpienie kobiet. Panna Omańkowska z Poznania wypowiedziała piękną mowę do kobiet polskich w Berlinie, a po niej zgłosiły się do głosu dwie Polki z Berlina. Jedna z nich trafną czyniła uwagę, że najgorszy wpływ na dziecko wywierają rodzice sami, jeśli nie czytują pism polskich, lecz niemieckie.

Wiec rezolucyj żadnej nie uchwalił, natomiast postanowiono odbyć za dwa tygodnie podobny wiec w północnej dzielnicy miasta, aby najuboższych i najubożniejszych Polaków przyciągnąć i zachęcić.

Poprzedni wiec, na którym taką ostrą rezolucję wystosowano przeciw posłom za ich odsuwanie się od udziału w pracy kolonii polskiej, miał ciekawy zakulisowy epilog. Oto jeden z posłów postawił wniosek, aby Koło uchwaliło, że żaden z posłów bez pozwolenia Koła nie ma brać udziału w jakichkolwiek zebraniach kolonii polskiej w Berlinie. Dziwaczny ten projekt pogrzebano w dyskusji, a na wiec ostatni stawiał się jeden z posłów, — no i przewodniczył. Powinnyby już raz wreszcie zakończyć się te rekryminacje wzajemne i oskarżenia. My w kolonii polskiej w Berlinie widzimy tyle samorodnego szlachetnego materiału, iż nie wątpimy, że uda jej się wszystkie trudności przełamać i do rezultatów, korzystnych dla kraju i narodu, doprowadzić.

Berlińczyk.



Z pamiętnych chwil.*)

III.

Rewolucya poznańska 1848 roku była pierwotnie ruchem, który przerodził się w rewolucję, skierowaną przeciw Prusom dopiero pod wpływem wypuszczonych z więzienia sprzyśniętych z procesu 1846.

Pierwotnie zamierzano legalną drogą uzyskać pewne ulgi i w tej myśli funkcjonował komitet narodowy centralny i wysłał do króla deputację, o posłuchaniu której pisaliśmy już w „Pracy“.

Dnia 28 marca wieczorem przyjechał Mierosławski. Już u rogatek miasta czekali w ordynku strzelcy miejscy, gwardya narodowa i tłumy mieszkańców. Mierosławski stanął wreszcie wśród murów miasta w otoczeniu części akademickiej ligi, która się „gwardyą jego“ nazywała.

*) Przedruk dozwolony tylko za podaniem „Pracy“ jako źródła.

Wśród okrzyków „niech żyje nasz wódz zmartwychwstały!“ dwudziesto tysięczny tłum zaniósł go w tryumfie na oświetlony bengalskimi ogniami ratusz. Ze schodów ratusza miał przemowę Mierosławski do ludu.

Entuzjazmu tego zupełnie nie podzielał komitet narodowy, którego rozkazy już i tak kilkakrotnie natrafiły na kontr-rozkazy Mierosławskiego wydane w Berlinie. Dawne niechęci odżyły — Adolf Malczewski, i Garczyński i Kosiński darować Mierosławskiemu nie mogli roli, którą on odegrał w procesie berlińskim.

Mierosławski do komitetu nie wszedł. Lud prosty zaś, jak niemniej emigranci, widzieli w Mierosławskim instancję wojskową, jedyną, której w tych burzliwych czasach należała się władza.

Wskutek starań Białoskórskiego i Guttrego Mierosławski wszedł do wydziału wojennego i zajął tam miejsce przewodniczącego. Wskutek jego zabiegów i starań, pomiędzy 6-ym a 7-ym kwietnia uskuteczono zbory sił wojskowych w sposób żywo przypominający plan powstania z r. 1846.

I Mierosławski przyjechał z Berlina olśniony pertrakcyami z Arnimem, Boyenem i Willisenem, z których właśnie ten ostatni nie tał, że rząd chętnie Polakom dopomoże w wojnie z Rosyą; na nalegania więc wszelkie odpowiadał Mierosławski, że co najmniej dwa tygodnie czasu mu potrzeba dla uporządkowania sił zbrojnych, mających wkroczyć do Królestwa.

Mierosławski wielkie pokładał nadzieje w wynalazkach swego pomysłu, mających stanowić zgoła nową epokę w technice wojennej. Były to jakieś mechaniczne skrzynie z koszami, plecionki z witek wierzbowych, z za których strzelcy mieli jak za ruchomą ścianą operować przeciw wrogom.

Wojsko ściągano bez przerwy; wszystkimi wielkimi traktami maszerowali żołnierze.

Polacy ze swojej strony w pierwszych dniach myśleli, że te bataliony przeciw Rosyi idą.

Rząd pruski tymczasem ściągnął przeszło 40,000 wojska do Poznania i okolicy, a generałowie Colomb i Steinaecker poczuli pewniejszy grunt pod sobą. W Poznaniu rozbrojono pułk Jabłkowskiego i wypędzono z miasta. Pierwszy batalion Wronieckiego przybył pojedynczo do Środy — odesłano go do Miłosławia, nadto i przybyłych oficerów wraz z Jabłkowskim i Wronieckim. Następnie przybył Dobrogojski z drugim batalionem, już nie pojedynczo, lecz w porządku opatrzonego w kosy zebrane staraniem Dobrogojskiego w okolicznych wioskach Poznania. W porządku przeprowił się ten

batalion przez rzekę pod Rogalinem i przemaszerował do Środy. Brzeziński zatrzymał go i zakwaterował we wsi Żrenicy i okolicznych wioskach.

Tymczasem agitacja, wywołana i kierowana przez urzędników pruskich na prowincyi, zaczynała wydawać owoce. Nietylko w Poznaniu, gdzie niemiecki komitet, klub i zgromadzenia niemieckozydowskie stały się instytucjami, zagrzewającymi władze do walki z Polakami, ale i na prowincyi ludność niemiecka zaczęła reprezentować najreakcyjniejsze dążenia. Najpierw w Lesznie i w Bydgoszczy, później w Nakle, Krotoszynie i w Rawiczu zaczęto zdzierać polskie kokardy.

Donoszono komitetowi narodowemu o zajściach w zachodnich powiatach Księstwa — we Wschowie, Międzyrzeczu, w Skwierzynie i Czarnkowie. Ludność niemiecka wszędzie kierowała się wobec Polaków duchem najzaciętszej nieprzyjaźni zagrzewając przebiegające kraj ruchome kolumny wojska do jaknajśroźszego obchodzenia się z Polakami.

Pod Strzelnem zabito dzierzawcę Brodzkiego oskarżonego o przechowywanie broni, w Gnieźnie rozpedzono komitet i aresztowano naczelnika, pod Łabiszynem huzarzy rzucili się na ochotników dążących z Królestwa Polskiego.

Komitet poznański słał posła za posłem do Berlina, poszkodowanym przyobiecując zadosyćczynienie i kazał wierzyć w „nieporozumienia“, zalecał cierpliwość i spokój, zapewniając że wszystko będzie dobrze.

Komitet narodowy centralny był zresztą ciałem zbyt złożonym i ciężkim, aby mózgi poddać wymaganiom chwili.

Kto tylko miał cokolwiek zdolności i wpływów — napewno mógł liczyć na przyjęcie do komitetu a tak — drogą ciągłego kooptowania — stał się komitet ciałem skłonem do dyskusji, w których tonęła sprawa sama, ciałem wielce różnorodnym i pozbawionem sprężystości, — pozbawionem wielkiej powagi na zewnątrz, gdyż nieraz rozporządzenia wydawane na prowincję nosiły podpisy członków zupełnie prawie prowincyi nieznanymi.

Dnia 5 kwietnia ogłosił Colomb stan obłężenia. I na to komitet nie miał innej odpowiedzi, jak wysłanie posła do ministra Auerswalda. Minister oświadczył, że o niczem nie wie i że bezwątpienia stan obłężenia zniesie, skoro się o istnieniu jego upewni. Colomb zaś działał w porozumieniu z królem, siły zbierał i do walki się gotował. W Poznaniu raz po raz na ulicy napastowali kogoś żołnierze w brutalny sposób bijąc kolbami. Listy do komitetu Colomb odbierał, tu i owdzie oddziały jego podstępowały pod miasteczka, zajęte

przez Polaków, poważnych spotkań jednak stale unikając.

Zgodnie z instrukcją Wydziału wojennego potworzyły się we wskazanych miejscach obozy. Jako naczelnego wodza proponowano generała Kruszewskiego z Belgii, lub generała Chrzanowskiego, który towarzyszył księciu Adamowi Czartoryskiemu w podróży do Niemiec. Lecz ani jeden ani drugi nie przybywał. Mierosławski, który w charakterze przewodniczącego w wydziale wojennym kierował gromadzeniem sił, chciał się udać do obozów w charakterze naczelnego wodza. Lecz komitet narodowy wręcz mu odmówił komendy nad wojskiem. W ironicznym przemówieniu swem Maciej Mielżyński dał mu radę, niech sobie między kosynierami znajdzie buławę. Na to Mierosławski odparł, że skoro go dwadzieścia tysięcy ludu jako zamartwychwstałego wodza wniosło na ramieniach na ratusz, to obejść się łatwo może bez przychylności komitetu.

I pojechał do obozów jako szef sztabu. — Adjutantami jego byli: Guttry i Br. Dąbrowski.

W Miłosławiu była kwatera głównego sztabu. Tu się mieściły magazyny główne i fabrykujące broń wynalazku Mierosławskiego warsztaty.

W obec trzydziestotysięcznej armii pruskiej i dla bezpieczeństwa przed ruchomymi kolumnami, które jak gdyby dla wywołania zająć i nieporozumień, nie zatrzymując się, kraj w rozmaitych kierunkach przebiegały, skupili się Polacy w cztery punkta i utworzyły się obozy we Wrześni, w Środzie, w Pleśzewie i w Książu.

W żadnym obozie nie znajdowało się więcej jak 5000 ludzi. Siła ich całkowita około 10000 wynosiła. W dalszych powiatach pozostały tylko małe kupy zbrojne nie zależące od żadnej zwierzchności, albo oddziały bezpieczeństwa. Obozy polskie otoczyło ze wszystkich stron wojsko pruskie gotowe do ataku. W Gnieźnie znajdowała się część dywizji drugiego korpusu z Bydgoszczy, dalej rozciągała się dywizja poznańska, a od południa na linii nadgranicznej stał silny oddział z dywizji Wrocławskiej.

Dr. K. Rakowski.



Pruscy hakatyści nie ustają w wynajdywaniu środków dążących do zupełnego zgnębienia Polaków. „Deutsche Zeitung“, naczelnny organ hakatyzmu, proponuje obecnie, aby uchwalono jeszcze

500 milionów marek na cele kolonizacyjne. „Okazuje się z memoriału komisji kolonizacyjnej — pisze „Deutsche Ztg.“ — że działanie jej jest problematyczne. Z obojętnością i połowicznością, jaka cechuje Niemców w polityce, wahamy się uczynić drugi krok, gdy już pierwszy dokonany i Polacy spokojnie i bez przeszkody organizują odwetowe kupno i prowadzą akcję obronną, zapomocą kapitałów płynących ze źródeł klerykalnych. *Wobec tego należałoby przyznać państwu prawo pierwszeństwa do zakupna ziemi i prawo wywłaszczenia Polaków.*

Kto nie uznaje potrzeby takich żądań niechajże trwoni sobie dalej kapitał państwowym“....

Takie są marzenia, które hakatyści pruscy zaprzatają sobie umysły, gdy im się zdaje, że germanizacja postępuje nie dość szybko. W planach tych nietylko już ślad konstytucjonalizmu, ale ślad wszelkiej ludzkiej myśli, wszelkiego człowieczeństwa się zatracają.

A panowie ministrowie pruscy na to wszystko jedno tylko mają słowo w odpowiedzi: — „Niemcy są atakowanymi a nie atakującymi“. Ciekawa rzecz, kiedyby podług pojęć ministrów Niemcy byli atakującymi? Chyba wtedy, gdyby zaczęli mordować Polaków.

Prusacy są poprostu zbyt zaufani we własną potęgę, zbyt pewni, że nikt ich nie poskromi, że to jest przyczyna, dla której z cynizmem depcą prawa innych narodów, ufni w to, że siła jest prawem.

Nie oni pierwsi krocą tą drogą. Zanim Prusy wkroczyły na tę drogę, kroczyli nią Anglicy. I dokądże zaszli? Zaszli do położenia, w którym całą swą siłę musieli poruszyć, aby jednemu małemu plemieniu boerskiemu dać radę. A podczas gdy oni zajęci wojną z Boerami, nowe kłopoty się zbierają nad ich głową w innej części świata, w Australii. Minister Chamberlain i jego przyjaciele polityczni marzą o utworzeniu z kolonii angielskich osobnego państwa, któreby mogło rozwijać się pomyślnie w interesie Wielkiej Brytanii. Tymczasem Australia i zjednoczone jej kolonie uchylają się od tego programu, ponieważ mają poczucie własnych niezależnych od Anglii interesów i nie chcą znosić, aby ich potrzeby lokalne poświęcano dla celów ogólnopństwowych. To nowo obudzone poczucie samodzielności w koloniach angielskich grozi Anglii najgorszym niebezpieczeństwem. Pierwsze starcie już wybuchło. Dotąd najwyższą instancją sądową dla kolonii angielskich jest osobny trybunał w Londynie. Trybunał ten do pewnego stopnia jest wyobraźnię zależnym od metropolii. Obecnie Australczycy pragną mieć swój najwyższy trybunał na miejscu a nie chcą odwoływać się do Londynu. Wy-

buchł z tego powodu spór, który na złe Anglii wyjdzie.

Pomimo zmiany rządu parlament austriacki znowu nie funkcjonuje prawidłowo i nie ma już nadziei, aby mógł kiedykolwiek prawidłowo funkcjonować. Czesi nie mają zamiaru zrobić ofiary ze swych praw na rzecz panoszących się Niemców, pewni są poparcia swych wyborców i chcą dać rządowi dowód, że bez nich rządzić nie potrafi. Wobec tego podobno szykują się nowe wybory, niektórzy zaś twierdzą, że dokonane one zostaną na podstawie wogóle nowego prawa wyborczego. Z drugiej zaś strony wisi nad Austrią widmo wojennej dyktatury.

Podobno austriacki następca tronu już zawarł ślub z hr. Chotekówną. Małżeństwo to trzymane jest w ścisłej tajemnicy dworskiej i napewno nie wiadomo. Utrzymuje się jednak pogłoska, że następca tronu swą żonę umieścił w pobliżu Wiednia i dojeżdża do niej z rezydencji, w której go trzymają obowiązki reprezentacyjne.

We Lwowie odbyły się wybory na mandat opróżniony po Smolce. Kandydował Daszyński, socjalista, i minister Piętał. Daszyński przepadł a znaczną ilość głosów, które otrzymał, przypisać należy jedynie ministeryjalnej kandydaturze jego przeciwnika. Socjaliści zupełnie się prawie wypierali swych tendencji, aby tylko przeciągnąć na swą stronę jak najwięcej zwolenników. Wybory miały smutny epilog, bo zamknięcie politechniki. Niejaki prof. Thullie popełnił przy wyborach taki — mało powiedzieć nietakt, że stanął z notatnikiem przy urnach wyborczych i notował nazwiska tych, co oddali głos na Daszyńskiego. Za to wygwizdała go młodzież akademicka, a ponieważ wszyscy koledzy z demonstrantami się solidaryzowali, więc politechnikę zamknięto i odbywają się nowe wpisy.

Umarł dnia 15-go b. m. naczelnny prezes Pomorza, dawniejszy pruski minister oświaty a następnie spraw wewnętrznych, Puttkamer, który dał się Bismarckowi użyć za narzędzie do nielitościwego wydalenia przeszło 40,000 Polaków z granic państwa pruskiego.

(Niech zmarłemu hakatyście piaski pomorskie tak lekkie będą — jak lekkim było nieszczęśliwym tułaczom opuszczenie ziem rodzinnych!

Przyp. Red. „Pracy“.) O. K.



PRZEGLĄD PRASY.

Niedawno wydała komisya kolonizacyjna świeży memoriał o stanie swych czynności z ubiegłego czasu.

Memoriał ten, przedstawiając suchy liczbowy materiał, potwierdza, najlepiej twierdzenia naszych posłów oraz niektórych centrowych mówców, że komisya kolonizacyjna będzie środkiem do protestantyzowania dzielnic polskich. Komisya w tym kierunku istotnie zrobiła postępy.

Na 150 nowo urządzonych wsi zaledwie jest 9 katolickich, na 3616 osiedlonych kolonistów jest tylko 209 katolików. Z wyjątkiem jednego kościoła, wszystkie (12) domy Boże są protestanckimi zborami.

Memoriał ten wywołał wśród Niemców katolików objawy niezadowolenia tem silniejsze, że dziś centrum jest przeciw partją rządową i na poparcie rządu chciałoby liczyć tak, jak rząd na jego poparcie w sprawach budżetowych i kolonialnych liczy.

Z tego powodu nawet „Germania“, która od dawna już dobrego słowa dla Polaków nie miała, zdecydowała się na skreślenie apelu do Polaków, aby się trzymali ziemi:

„Biedni katolicy w archidiecezjach gnieźnieńskiej i poznańskiej oraz chełmińskiej! Najświętszym obowiązkiem waszym, jeśli wiara wasza w owych stronach nie ma zupełnie zagać, jest to, żebyście usilnie strzegli i utrzymali swoje posiadłości. Przeciwno na mocy osobnej ustawy uprawianej kolonizacji jest tylko jeden środek, środek biernego oporu. „Trzymaj co masz“, to niechaj będzie zasadą wszystkich, którzy nie chcą, żeby wiara katolicka w Poznańskim i Zach. Prusach zginęła.“

„Germanii“ chodzi tu o utrzymanie wiary katolickiej, nam zaś o ileż silniej chodzić powinno o utrzymanie tej ziemi, z którą wiązana jest nietylko wiara katolicka, ale i nasza narodowość. A jednak! znalazło się i w tym roku dużo Polaków gotowych sprzedać ziemię kolonizacyi.

Z „Dziennika Poznańskiego“ wyjmujemy ustęp poniższy:

„Niestety i w roku 1899 znalazło się 82 Polaków, 45 właścicieli większej posiadłości i 37 gospodarzy włościańskich, którzy gotowi byli splamić swoje imię polskie za pieniądze komisji kolonizacyjnej. Czuli, jaki grzech narodowy gotowi byli popełnić, nie mieli odwagi sami wystawać u drzwi p. Witenburga, więc do wstrętnych transakcyi używali pośredników, osób trzecich, jak to wyraźnie memoriał wypowiada. Dziesięciu Polaków, to jest 4 właścicieli większych posiadłości i 6 gospodarzy istotnie w roku 1899 splamiło swoje imię polskie, reszcie oszczędziła wstydu — komisya kolonizacyjna, nie przyjmując oferty.“

„W jednym roku 1899 założyła komisya dla kolonistów dom zbożowy i spółkę młynarską w Gorzykowie, gorzelnię w Tarnowie, trzy mleczarnie spółkowe w Tarnowie, w Węgierkach pod Wrześnią i w Bobrowie, dwie spółki sprzedaży jaj w Wyganowie i w Janówcu,

wreszcie spółkę dla zakupna młockarń parowych w Czeluścinie.

„Mimo tych wszystkich dogodności jednak zmieniło w roku sprawozdawczym 90 osad swoich właścicieli, a 5 zlicytowano.“

„Obok rozbijania wielkich majątków i osiedlania wyjątkowo niemieckich kolonistów trudni się komisya także niemiezeniem nazw nabytych przez siebie włości.“

„Na 130 utworzonych przez komisję wsi przechrzczone na niemieckie 81, zatrzymało polskie nazwy tylko 49 wsi. I tak n. p. przechrzczone Zodyń na Deutsch Zodien, Sławoszewo na Lawau, Łowencice na Lowenitz, Wojciechowo na Woischau i. t. d.“

Z tego wszystkiego jest widocznym, że Niemcy nie zaniechali żadnego środka germanizacyjnego, wyniki jednak ich pracy są nader mierne i to ich doprowadza do wściekłości.

Wszystkie ich wysiłki będą daremne, dopóki nasz lud nie przestanie iść wytkniętą drogą i wykupując z rąk niemieckich powoli majątki, nie przestanie ratować zagrożonej sprawy. W jego patriotyzmie spoczywa zaś nadzieja, że temu celowi nigdy się nie sprzeniewierzy.

Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu odbyło niedawno swe doroczne zebranie. Jest ono od długiego szeregu lat, niestety, jedynym ogniskiem ruchu umysłowego w Księstwie i jedyną instytucją, która łagodzi ogromną jednostronność tutajszego życia. Tak też ocenia tę instytucję i polskie piśmiennictwo zagraniczne. W „Gazecie Polskiej“ znajdujemy poniższy artykuł, trafnie opisujący tę sprawę:

„Tak więc całe życie umysłowe, o ile nie znajduje ujścia w Warszawie lub Galicyi, skupia się w Towarzystwie Przyjaciół Nauk. Był czas, kiedy Towarzystwo zajmowało jedno z najpierwszych miejsc w rządzie polskich instytucji naukowych. Upadło skutkiem zwrotu, który dokonał się w stosunkach tutejszych, przeważnie pod wpływem „walki kulturalnej“ i związanych z nią okoliczności. Dopiero po objęciu kierownictwa „Muzeum“ przez d-ra Bolesława Erzepkiego i głównie za jego staraniem zapanowało w Towarzystwie nowe życie. Wyniosło się ono obecnie znowu na dość wysoki poziom, pomimo, że rozwój jego jest krepowany przez dziwaczne stosunki i względziki towarzyskie, które, onieśmiałając krytykę, w skutkach swych, doprowadzają niekiedy do drukowania w Rocznikach prac, obniżających wartość naukową tego wydawnictwa.“

„Dokonany na posiedzeniu walnem przegląd roku ubiegłego mógł zadowolić zupełnie. Z odczytanych sprawozdań wynika, że wszystkie wydziały, z wyjątkiem archeologicznego, który istnieje tylko pracą d-rów: Erzepkiego i Koehlera, rozwijały się bardzo pomyślnie. Również stan finansowy instytucji jest dobry i umożliwia zakupienie przylegającego do „Muzeum“ domu, potrzebnego już oddawna do umieszczenia powiększających się nieustannie zbiorów. Na wniosek prezesa, ks. biskupa Likowskiego, postanowiono wystarać się dla Towarzystwa o prawa korporacyjne. Sprawa ta bardzo ważna, bo od jej załatwienia w danych okolicznościach może należeć przysze-

łość materialna Towarzystwa, która dotąd musiała pozostawać w zawieszaniu, ponieważ według praw obowiązujących do stycznia r. b. instytucje naukowe i t. b. nie mogły uzyskać praw osoby jurystycznej. Obecnie uzyskanie tych praw nie przedstawia żadnych trudności. W Roczniku tegorocznym ukaże się kilka prac rzeczywistej wartości naukowej. Wymienię „Katastrofę kargowską“ Al. Kraushaara, „Romowe“ prof. Mierzyńskiego, „Swanty Wid“ Al. Parczewskiego.“

Poniższą notatkę uzupełniamy dodaniem wzmianki, że kosztem Towarzystwa wychodzą również wytworne wydawnictwa archeologiczne; są one największą chlubą instytucji i tytułem jej sławy w zagranicznym świecie naukowym.

O nowym ciosie, który spotkał polskość w Poznańskim donoszą gazety. Jest to ograniczenie języka polskiego na prywatnych pensjach polskich w Poznaniu. Pisz o tem „Wielkopolanin“:

„Minister oświaty Studt wydał rozporządzenie, iż we wszystkich trzech wyższych zakładach żeńskich nauka języka polskiego nie będzie udzielana od Wielkiejnocy jak dotąd po cztery lekcje tygodniowo, tylko po dwie lekcje i te tylko tym panienkom, których rodzice wyraźnie tego zarządzają. Lekcje nauki polskiej będą się odbywały po za planem szkolnym.“

„Nauka religii udzielana będzie po polsku, ale te panienki, które przyjdą na tutejsze pensye z prowincyi a tam w szkołach pobierały naukę religii po niemiecku, będą musiały i tu w Poznaniu uczyć się religii po niemiecku. W ten sposób i na prywatnych pensjach zostanie zaprowadzona niemiecka nauka religii. Lecz nie dość na tem. Na rozkaz władzy szkolnej zamknięta i zniesiona zostaje w wyższej szkole żeńskiej panny A Danysz klasa I. czyli selekta, która przygotowywała panienki do złożenia egzaminu na nauczycielki rządowe.“

„Ciężki to cios, który spotkał społeczeństwo polskie, lecz to chyba znowu nowy dopust Boży, abyśmy, hartując się w ogniu przeciwności, tem więcej nabierali wewnętrznej twardej stałości.“

„Więc nie płakać Wam, dziewczęta polskie, nie rozpaczać, lecz odważnie i z ufnością patrzeć w przyszłość, bo mimo wszystko, Wy dobrmi Polkami jednak zostaniecie, jeszcze nam wykarminicie grono olbrzymiej młodzieży!“

Interesujący fakt bojkotowania władzy duchownej z powodu względów narodowościowych opisuje „Dziennik Kujawski“, dając świadectwo temu, jak daleko posunąć są zdolni Niemcy swój terroryzm germanistyczny:

„W czeskiej części Ślązka austriackiego, w mieście Opawie (Troppau) na posiedzeniu rady miejskiej radca Kudlich (Niemiec) zapytał burmistrza, czy jest prawdą, że na miejsce proboszcza Schuma przy kościele Wniebowzięcia Maryi Panny zamianowany ma być kapelan Raszka jako proboszcz? Burmistrz odpowiedział, że tak jest. Wtedy Kudlich stawiał wniosek, który przyjęto jednogłośnie, żeby nie brać udziału w uroczystościach kościelnych, dopóki nowy proboszcz ks. Raszka, który ku wielkiemu żalowi Niemców jest Czechem, nie będzie prowadził wszystkich ksiąg kościelnych wyłącz-

nie po niemiecku i nie będzie się trzymał zdala od wszelkich agitacji czeskich. Dalej polecono poprosić miejscowego radcę szkólnego, żeby zakazał dzieciom usługiwać przy jakichbądź ceremoniach kościelnych!!

„Tak to katolicy niemieccy bojkotują i prześladują przysłanego przez władzę duchowną proboszcza za to, że metryki do ksiąg kościelnych wpisuje w języku ojczystym każdego parafianina, a więc dla Czechów po czesku, dla Polaków po polsku i dla Niemców po niemiecku. U Polaków zaś — n. p. w Westfalii — nawet najskromniejszą prośbę o polskie kazania Niemcy katolicy często nazywają ... buntem przeciwko duchowieństwu!!“

Na szczęście władza duchowna znajduje środek na poskromienie czeskich agitatorów germanizacyi, bo gdyby im pozwolić na wszystko, coby chcieli, zapewnieliby w krótkim czasie nasze kościoły przemieniły się w zakłady propagujące germanizacyę, a nasi księża chyba w nauczycieli niemieckich.

Szereg interesujących artykułów o Burach w Afryce południowej ogłosiła niedawno „Gazeta Opolska.“ Objaśniają one, dlaczego bohaterki ten naród tak długo był w stanie zwyciężko odierać napaść najeźdźcy:

„Bur uważa wojnę za rzecz zbyteczną i niechętnie uprawia rzemiosło wojenne, ale skoro już Transwaal zdecydował się na wojnę z Anglią, wszyscy Burowie zgodnie wyszli w pole. Przyczajeni są do walki w taborach, taki obóz urządzają w ten sposób, że ustawiają długie, ciężkie wozy (które ciągną zwykle 18 — 20 wołów) wokoło i wszystkie otwory zamykają cierniem; w środku koła miesci się bydło, żołnierze i ich rodziny; częstokroć biorą udział w walce kobiety i 10-letni malcy. Gdy chłopiec może już utrzymać w ręku strzelbę, wysyła go ojciec na próbę na polowanie i liczyć może na pewne, iż młody Bur nie wróci prędzej, póki nie ubije kozła. Zręczność, z jaką Burowie umieją obchodzić się z bronią palną, uczyniła ich straszliwymi nie tylko dla krajowców, lecz także dla Anglików.

„W sprawozdaniach wojennych czytamy, że w walce pada stosunkowo dużo oficerów angielskich; toż samo działo się w r. 1881 pod Amejulea i Lains-Neek. Burowie wyszukiwali najprzód oficerów odróżniających się strojem, poczem ofiary padały gęsto; pospolitaków nawoływali Burowie, żeby się poddali i dopiero w razie oporu grzmiały rusznice burskie.

„Bur zabiera wszędzie swego konia, na najtrudniejsze pozycje. Są to koniki niepozorne, nigdy nie czyszczone, nieznanające stajni, przebywające dniem i nocą na wolności i żywiące się suchą trawą, są przytem niewrażliwe na chorobę koni, grasującą w Afryce południowej. Bur strzela, koń staje za nim nieruchomo. Jakkolwiek Burowie mają w wojnie dowódców, każdy dowodzi sam sobą i strzela, gdy uzna za stosowne, podczas gdy żołnierz europejski czeka zawsze komendy i bez niej jest bezsilny i niezaradny.“ Sądzymy, że ta właśnie ostatnia zaleta zapewniła Burom najwięcej zalet.

W serdecznych słowach odzywa się „Gazeta Ostrowska“ przy schyłku kwartału, nawołując do przedpłaty:

„Dziś takie nastały czasy, że nikt bez pisma obywać się nie może. Nawet zwykły robotnik czytywać je musi, jeżeli pragnie polepszyć byt swój. Nawet rolnik drobnej posiadłości gruntowej czytywać musi gazetę, jak to sobie drobni różnicy poczynają w innych oświecenijszych od naszego krajach, ażeby większe wydobyć zyski ze swej potem zroszanej ziemi. Wieśniak przy pługu, drobny kupiec, przemyslowiec, czy on jest rękodzielnikiem, czy pracuje w fabryce, śledzić musi za postępem w tych gałęziach zarobkowania. Wiedzieć oni muszą, co się dzieje i w polityce, gdyż od niej zależą także przedsiębiorstwa rolnicze, kupieckie i przemysłowe...“

„Z tych tedy powodów zapraszamy naszych Czytelników do wczesnego zapisywania sobie „Gazety Ostrowskiej“ a znajomych i przyjaciół gorąco wzywamy o szerzenie jej pomiędzy tymi, którzy jej dotąd nie mieli w ręku. „Gazeta Ostrowska“ kosztuje na kwartał 1 markę.“

I któżby odmówił poparcia pismu, stojącemu wytrwale na straży praw naszych i w obronie naszego Kościoła, pismu pracującemu uczciwie nad oświatą naszego ludu, wreszcie pismu, którego redaktor w więzieniu —

Rodacy, pamiętajcie więc o „Gazecie Ostrowskiej.“

B. M.



Poświęcenie szabli.

(Patrz ilustracją tytułową.)

Gdy Polacy po drugim rozbiórce zaczęli na serio myśleć o ocaleniu reszty pozostałego kraju, gdy zawiązywali pomiędzy sobą związki itd., mające na celu powstanie przeciwko ciemiężcom, a mianowicie przeciw Rosyi, rozlokowali Moskale po miastach polskich załogi swe i aby się upewnić przed powstaniem Polaków, rozkazały rządy rosyjski i pruski większą część wojska polskiego rozpuścić do domów. Na pozór miało pozostać 15 tysięcy wojska polskiego pod bronią.

I w rzeczywistości porozpuszczano kilka pułków, a jen. Madaliński zamiast to samo uczynić, rozpoczął z Moskalami wojnę partyzancką i napadał na nich jak mógł, zabierając im kasy wojenne itd.

Kościuszek przebywał wówczas w Dreźnie, a gdy się dowiedział o tem, co się dzieje w kraju, przybył do Krakowa, gdzie odbył naradę z jen. Wodzickim, i z kilku oficerami. Moskale tymczasem widząc, że to nie przelewki, czmychnęli i pozostawili mały oddział wojska polskiego. Dnia 23-go marca 1794 r. z rana udał się Kościuszek z jen. Wodzickim do kościoła OO. Kapucynów, gdzie w obecności kilku osób poświęcono ich szable. W kościele tym znajduje się tablica pamiątkowa, przedstawiająca nam właśnie tę chwilę, której ilustracją zamieszczamy na stronie tytułowej. Na drugi dzień wydał jen. Wodzicki

rozkaz zgromadzenia się wojska na rynku. Naturalnie, że zbiegło się wiele ludzi tak z miasta jak i z okolicy, bo wszyscy byli ciekawi, co nastąpi. Przybył wreszcie Kościuszek i stanawszy przed wojskiem, oświadczył, że chce bronić Polski, prosząc wojsko i naród, aby mu w tem dopomogli. Kościuszek odebrawszy następnie od wojska przysięgę wierności, przysiągł uroczyście, że władzy powierzonej mu przez naród na niczyją krzywdę nie użyje i będzie się bił za wolność Polski do ostatniej kropli krwi. Na ratuszu ogłoszono akt wypowiedzenia wojny Rosyi. —

Kościuszek obrany naczelnikiem narodu, musiał się wziąć z całym poświęceniem do tego, aby móżdż każdej chwili na Moskale uderzyć, a że nie miał tyle wojska regularnego wydał odezwę i powołał cały naród pod broń. — Wieśniaków zaś, którzy nie umieli z bronią się obchodzić, uzbroił w kosy, toporki itp. — Moskale tymczasem zajęci byli Madalińskim, który im nie dał chwili odpoczynku i puścili się za nim w pogoń ku Krakowu.

Dowiedziawszy się o tem Kościuszek, wyszedł mu naprzeciw, a połączywszy się z konnicą Madalińskiego natrafił na Moskale w liczbie 7,000 pod Raclawicami dnia 4go kwietnia. — Gdy Moskale widzieli, że Polaków tak mało, ustawili się zaraz do bitwy i poczęli do Polaków strzelać z armat. Kościuszek ustawił swe wojsko także w szyku bojowym. Stanął potem przed kosynierami, a wskazawszy w stronę, gdzie stały moskiewskie armaty, zawołał:

— Wiara naprzód! Zabrać im te armaty!

Na komendę tę rzucili się wieśniacy w tę stronę, a pomimo straszego ognia dotarli do armat i wszystkie zdobyli. — Przytem odznaczył się szczególnie Bartosz Głowacki (patrz ilustracją na stronie 349), który pierwszy wskoczył na baterię i zaczął Moskale z lewej i z prawej strony kosą zmiatać. — Widząc Moskale, że armaty zabrane, poczęli się na całej linii cofać i rozproszyli się na wszystkie strony, pozostawiając po sobie tylko rannych i trupów. — Po skończonej bitwie kazał Kościuszek przywołać do siebie wszystkich wieśniaków, którzy się w tej walce odznaczyli i podziękował im za to, że się tak dobrze spisali. — Głowackiemu zaś podziękował osobno, a podawszy mu po przyjacielsku rękę oświadczył, że mianuje go chorążym w nagrodę za okazane męstwo i przypiął mu do chłopskiej sukmany odznaki oficerskie.

Mieczysław B.



CZEŚĆ PIERWSZA.

KRWAWE CHRZEST.

Powieść ze zdarzeń ostatnich w trzech częściach.

Napisał

J. Dzierzkowski.

(Ciąg dalszy.)

XVII.

Rotmistrz na widok ukochanej wnuczki, po raz pierwszy tego dnia okazał wzruszenie silniejsze, które w tej chwili uwydatniło na twarzy jego sędziwej, widome dopiero teraz zmęczenie, i walkę wewnętrzną. Mimo całej energii, której staruszek tak wiele posiadał, zdało się, że nagle postarzał. Widocznie walczył sam z sobą, by to wzruszenie powstrzymać, i zachować ten poważny spokój, którym się zawsze odznaczał. Podnosił się powątpiewając z miejsca swego, jakby chciał czasu zyskać; wreszcie powstał, i zbierając wszystkie siły swoje, przemówił głosem, w którym do wnuczki przywiązane tylko serce domyślało się raczej, niżeli ucho dosłyszało, drżenia niejakiego:

— W ważnej chwili proszę panów bliższych mnie czy sercem czy powinowactwem. Chwila to nagle.

— Nagła? — ozwały się wszyscy półgłosem.

Najgłośniej zawołali markiz i kamerjunker, którym widocznie szło o to, aby jak najmocniej uwydatnić współczucie swoje. To też markiz przybliżył się do rotmistrza, a pan kamerjunker do Konstancyi, i nie umiejąc się na nic zdobyć, jął jej szeptać komunały grzecznych komplementów.

Konstancya zmierzyla go tylko spojrzeniem zimnem i pogardliwym.

— Tak jest, nagła — mówił dalej rotmistrz — idzie bowiem o ustalenie losu mojej Kostuni.

— Dziadziu! — zawołała Kostusia przytulając się do niego i porwawszy go za rękę, cisnęła ją do ust drżących; łza nawet gorąca spadła na zimną staruszką rękę.

Staruszek pocałował wnuczkę w głowę, i łagodnie odsunął ją od siebie.

— Nie przeszkadzaj mi dziecię; znam twoje przywiązanie; możesz być spokojna — szepnął jej do ucha, i dalej mówił głosem coraz spokojniejszym i donośniejszym:

— Czas nagli, proszę zatem wszystkich, by mi nie przerywali. Niech się wam zdaje, że jesteście przy odczytaniu mego testamentu.

Konstancya pobladła, a Stanisław oparł się o krzesło, ledwie mogąc powstrzymać ból wewnętrzny. Uroczyste przemówienie rotmistrza przekonywało go najmocniej, że domysły jego były prawdziwe.

— Wiecie już — ciągnął rotmistrz dalej — że zdrada sługi mego oddała w ręce sprawnika dokument kompromitujący mnie najmocniej wobec rządu moskiewskiego. Cieszę się przynajmniej, że ten dokument kompromituje mnie tylko jednego, i zastrzegam sobie wyraźnie, proszę, a w razie potrzeby nakazuję tym, którzy chcą poszanować moją prośbę i rozkaz, tym, którzy mnie kochają, aby w chęci pomóżenia mi lub ratowania, sami siebie nie kompromitowali.

— Twoja prośba kochany rotmistrzu — zagadł markiz...

— Będzie nam świętą — dokończył syn jego...

— A żeby was, czy tak czy siak!...

Nie mógł się Bartłomiej wstrzymać, by nie wymruknął tych słów dokończonych serdecznym uśmiechem.

— Proszę, by mi nie przerywać, i panie i dobrodzieju, nie do panów Kettelerów obracałem słowa moje, ale do pana Stanisława, który także, jak widzę, ma wielką ochotę, odezwania się... ale proszę go o cierpliwość także. Owóż sprawnik opierając się na tym dokumencie, śmiał się oświadczyć o rękę mojej wnuczki.

Tu wydało się kamerjunkrowi rzeczą przyzwoitą przybrać postawę wielce heroiczną, i pokusił się porwać rękę kuzynki, by okazać gotowość swą do walecznej obrony. Lecz i tym razem w spojrzeniu zimnem i dumnem jedyną znalazł odpowiedź.

— Wnuczka moja odmówiła mu oczywiście z całą pogardą, na jaką zasłużył... Znając charakter podły sprawnika, pewien jestem, że skorzysta ze sposobności, by się pomścić na mnie, i tym sposobem właśnie ogałając Kostusią z obrony, jaką jabym jej dać mógł, przyjdź do zamierzonego celu. Znam ja, panie i dobrodzieju, mego całego Pawła Onufryjewicza, wiem co mnie czeka, i dlatego...

— Pan rotmistrz daruje, ale ja muszę przerwać — przemówił w tej chwili Stanisław, trafiony właśnie spojrzeniem Konstancyi pytającym, a jeszcze więcej pełnem wymówki.

Rotmistrz zatrzymał się i spojrzał na mówiącego.

— Po powrocie pana rotmistrza nie miałem jeszcze czasu donieść — mówił Stanisław — że Mortko stosownie do danego mu przez rotmistrza polecenia, poczynił stosowne kroki, aby okupić milczenie sprawnika. I w rzeczy samej jest nadzieja zupełna, że choć to będzie grubo kosztowało, sprawnik sprzeda wykradzony dokument. Lada chwila spodziewam się, że sam Mortko przybędzie i doniesie o szczęśliwym rezultacie. Z tego powodu pan rotmistrz może się jeszcze zechce powstrzymać, panowie Kettelerzy poczekają, i oświadczenia szanownego pana rotmistrza...

Przerwał, bo go zbiło z terminu spojrzenie rotmistrza; spojrzenie pełne serdecznej łagodności, ale zarazem badawcze. Patrzył tak na niego staruszek chwilę; uśmiech niezrozumiany przemknął mu przez usta. Lecz wnet kiwnął ręką, jakby odpychał przedstawioną mu nadzieję i mówił dalej:

— Prosiłem cię mój Stasiu o negocjacyę ze sprawnikiem przez Mortka, aby zyskać czas tylko. By się to na co zdało, nie wierzyłem nigdy, i powtarzam wam, że znam ja najlepiej prawdziwie podłą, prawdziwie mongolską duszę sprawnika. Szkoda nawet wierzyć mi, każdej chwili, którą tu tracimy na próżne słowa. Nie przerywajcie, bo ja to czuję — dodał uderzając się w piersi, że niebezpieczeństwo bliższe niżeli myślicie!... wierzyć starcowi.

Słowa te wymówione z dziwną uroczystością, zrobiły ogromne wrażenie. Obecni wszyscy zadrżeli; nawet panom Kettelerom coś się tam poruszyło koło tego miejsca, gdzie u ludzi bywa serce — niekoniecznie z uczucia, ale może raczej z zaostrzonej ciekawości.

— Dosłuchajcież, jak mówiłem testamentu, który wam chory odczyta, a jeżeli umierający wyzdrowieje, tem lepiej dla niego, a przeczytany testament nie mu przecie nie zaszkodzi. Dlatego też, chciałem na każdy wypadek ustalić los Kostuni, i tak nim zakierować, aby w każdym razie była zupełnie wolną i zabezpieczoną od obrzydłych konkurencyj tego łotra. I dlatego zaprosiłem tu panów wszystkich na świadków.

Lecz jak się zdaje było przeznaczonem, by nie tak łatwo mógł stary rotmistrz doprowadzić do końca przemowę swoją, i by nie tak prędko zaspokojoną została gorąca markiza i kamerjunkra ciekawość, a młodych kochanków skończył się tłoczący ich piersi niepokój. Nowy wypadek przerwał przemowę rotmistrza. Nagły jakiś ozwał się ruch w przedpokoju, i przez drzwi obcesem otwarte wpadł stary Jan dziwnie zaperzony, zastawiając drzwi sobą, jakby komu bronił wejścia.

— Co to? — zawołał rotmistrz dosyć surowo.

— Proszę pana rotmistrza — odpowiedział stary wiarus, próbując wojskowej postawy, co mu po prawdzie niebardzo się dobrze udawało, i komicznością swą mimowoli wszystkich do śmiechu pobudzało, — proszę pana rotmistrza to żyd!

— Jaki żyd?

— Niech mnie diabli wezmą żyd, dalibóg żyd, chce się wepchać do towarzystwa, powiada że on musi wejść, a ja mu na to odpowiedziałem, że żyd nie należy do takiej zacnej kompanii, a on mi na to...

— A przestań że stary nudziarzu, i puszczaj go, kiedy ma interes.

— Ale proszę pana rotmistrza, to żyd dalibóg to żyd, choć się śmiał ubrać psiawiara w czamarkę.

— To wnuk Mortka! — zawołał Stanisław.

I ledwie usiłowaniami jego, i rozkazom rotmistrza udało się usunąć Jana z posterunku, i wpuścić znanego już nam Józefa, młodego wnuka Mortkowego. Wchodząc uklonił się pomieszany nieco, i jeszcze mocniej się zarumienił, gdy ujrzał patrzące na niego z uwagą i pewnem współczuciem oczy śliczne Konstancyi.

— Mój dziadek — zaczął półgłosem zwrócony do Stanisława — wracając z miasteczka powiatowego, wyrzucił i potłukł się, dlatego nie mogąc sam przyjechać przysłał mnie.

— Witam cię panie Józefie — przemówił rotmistrz do nowego i niespodziewanego gościa, na którego widok salonowi panowie Kettelerzy zaczęli mocno nosami kręcić. — Rozumiem co cię przyprowadza, możeż mówić głośno.

Mimo to Józef z większem jeszcze uszanowaniem skłoniwszy głowę przed sędziwym rotmistrem, przystąpił do niego bliżej i sprawozdanie swe składał głosem pół cichym, jakby mu właśnie szło o to, by nie doszło wszystkich uszu. Sprawozdanie było krótkie i wcale nie wesołe. Cały plan Mortka tak dobrze zakierowany, rozbił się o upor sprawnika, któremu siostra jego rodzona nie mogła się dosyć nadziwić. Odmówił wszystkich ofiar pieniężnych, nazwał siostrę rodzoną głupią, gęsią, Iwana Iwanowicza buntowszczykiem, i zawyrokował w końcu, że ręka panny Konstancyi na każdy wypadek musi być jego.

Mówiąc to młody Józef, jakby zmieniony cały strzelał piorunniemi spojrzeciami zwykle łagodnych oczu swoich.

— Dziadek mój — dodał w końcu, ale głosem jeszcze cichszym, by go tylko rotmistrz i Stanisław dosłyszeć mogli — kazał ze swej strony powiedzieć, jak dowiedział się z pewnością, o czem nawet sprawnik przed siostrą nie mówił, że w czasie swych przejażdżek po powiecie nikomu nie powiedział, dojeżdżał już do miasta guberskiego.

— Rozumiem — odrzekł rotmistrz po cichu.

I wyraz jego twarzy nie zmienił się zupełnie, gdy mówił dalej zwrócony do wszystkich głosem zupełnie spokojnym:

— Moje przewidzenia nie były mylne, i rad jestem, że wszystko przygotowałem do...

— Przygotowałem wszystko — kończył rotmistrz swe słowa przerwane — do ślubu Konstancyi, na który was panowie zaprosiłem.

Wielkie słowo było już wypowiedziane; łatwo zrozumieć, jak wielkie i rozmaite na obecnych zrobiło wrażenie. Stanisławowi wydało się ostatnim, bolesnym, ale spodziewanym wyrokiem, Konstancya zadrżała, ale spojrzawszy na starca oczy, spoczywające na niej tak serdecznie, czuła mimowolnie, jak się od niej odsuwa wszelkie przerażenie. Była w dziwnem położeniu; powinna była, chciała może nawet, a jednak nie mogła być przestraszoną.

Kettelerów twarze rozpromieniły się, a kamerjunkier zdobył się na uśmiech i westchnienia tak głęboko romantyczne, jakimi tylko mógł kiedy w najważniejszych chwilach wojować po buduarach petersburskich, i którymi był pewien, że oczaruje do reszty poważną kuzynkę.

Najpociesniejsze wrażenie słowo to sprawiło na naszą ciotkę, która się przez ten cały czas wierciła jak mucha w ukropie, a w końcu przez lornetkę nie bez upodobania przypatrywała się pięknym prawdziwie rysom młodzieńca rodu izraelskiego, pomrukując pod nosem:

— *Ma foi, sur mon honneur!* jak mówił mój nieboszczyk, śliczny chłopiec, szkoda, że...

Nie dokończyła salonowa dama dosyć erotycznej myśli swojej, bo usłyszawszy o ślubie Konstancyi, przyskoczyła do niej z dziwnie żywym ruchem, i objąwszy ją wpół, zaczęła z jakimiś giestami, niezrozumianemi krzyczeć!

— Ach! ach! ach!

— Co takiego ciotki! — spytała zniecierpliwiona dziewczyna.

— Ach! ach! ślub! a ty masz czarną przepaskę.

— Lecz już rotmistrz mówił dalej, a ciekawość powstrzymała wszystkich w oznakach wszelkich głośnych czy cichych.

— Stanisławie, podaj rękę twojej oblubienicy!

Te nowe słowa padły piorunem na zgromadzonych. Nawet najwięcej interesowani skamienieli.

— No cóż — mówił dalej rotmistrz, i uśmiech rubaszny wystąpił mu na usta, jakby za dawnych, najweselszych czasów. — Stoicie oboje jak mruki! Kostusiu! Stasiu! podajcie sobie ręce do wspólnej, a daj Boże szczęśliwej życia wędrówki. Chcecie oboje coś mówić, dajcie temu pokój! szkoda czasu drogiego. Ze się kochacie, ja wiem dawno, cóż to myślicie, że stary, to się już nie a nie rozumie na uczuciach? Stasiu! wiem co chcesz powiedzieć, wiem nawet co chciałeś mi dziś rano przy furcie klasztornej powiedzieć! chciałeś się jej wyrzec przez zbyteczną szlachetność. Ja też to wszystko przewidując, nie chciałem się wdawać w tłumaczenia, i jeździłem do biskupa, indult wyrobiłem i... wszystko już gotowe. Księżę gwardyanie racz zacząć ceremonię.

Jakoż ksiądz gwardyan z księdzem kaznodzieją na to wezwanie weszli do sypialni rotmistrza.

Ostatnie słowa rotmistrza rozkleły jakoś zaczarowanie milczenia i nieruchomości. Kostunia pierwsza pobiegła do Stanisława, i porwawszy go za rękę, pociągnęła do staruszka...

Scena to była krótka, ale pełna wyższej, serdecznej rzewności. Stary rotmistrz złożył na głowach ulubionych obie ręce swe, i z oczu starych padły dwie łzy. I ręce i łzy błogosławiły wnuczce i jej przysłemu mężowi.

— Życie szczęśliwi! — wymówił cicho, i usta starca zadrżały wzruszeniem i modlitwą.

A gdy młodzi powstali, padli sobie w objęcia opromienieni nie wiedzieć czem więcej, czy tem szczęściem co błyszczy uśmiechem na ustach, czy temi łzami co iskrzą się w oczach jakby brylanty najczystszej wody.

I pan Bartłomiej i młody Izraelita odwrócili się, by ukryć łzy rozczulenia.

Ciocia sama nie wiedziała co uczynić. Czy radować się szczęściem widocznem Kostusi, czy rozpaczać nad stratą Stanisława, którego przecież swą ręką chciała uszczęśliwić.. Miała ochotę zemdleć choćby dla konwenansu. Chciała upaść, lecz ją sznurówka podtrzymywała; chciała zblednąć, lecz róż nie pozwolił. Skończyła zatem na głośnych wykrzyknikach, których dowolne tłumaczenie zostawiła obecnym.

Nie tak panowie Kettelerzy. Dla nich był to cios tak straszny i niespodziewany, że nie mogli zostać nań nieczuli. Faktu dla ich wyrachowań omylonych takiej doniosłości, nie mogli pozostawić bez opozycyi chociażby daremnej.

Pan Artur spróbował spojrzeć groźnie na garbarza, i tak prawdziwie z pańska, ale się wzrok jego salonowy musiał cofnąć przed odpowiedzią, którą mu dał Stanisław spojrzeniem stokroć groźniejszym, prawdziwie z chłopską, z grubiańską, że kamerjunkier cofnął się na całej linii, która go uczyniła podobnym nieco do onego lisa, odstępującego od zbyt wysoko zawieszonych winogron.

Markiz zagryzłszy tylko co oblizane wargi, czuł potrzebę posunąć dalej opozycję. Zbliżył się zatem do rotmistrza i rzekł do niego:

— Jako najbliższy krewny po ojcu panny Konstancyi, mam obowiązek przemówić... i zwrócić uwagę na ten szczególny mezalians.

— Mezalians! — zakrzyknął stary rotmistrz z swą dawną energią, — mezalians panie i dobrodzieju, był wówczas i w owych pojęciach, kiedy panna Gradowska szła za Kettelera, a raczej Kettla, córka kasztelanów i hetmanów za zmoskwiczzonego Niemca, panoszącego się majątkiem praocjów naszych... Ale dziś nie jest mezalians wcale, kiedy szlachcianka idzie za syna ludu, córka rycerzów przeszłości ojczystej, za syna tych, co mają być bohaterami przyszłości naszego kraju. Dzieci takich mezaliansów będą prawdziwemi dziećmi odrodzonego narodu polskiego, spadkobiercami prawdziwej jego sławy i przeznaczenia, sławy na orężu i lemieszu opartej przeznaczenia prawdziwie chrześcijańskiej wiary braterstwa narodów; sławy i przeznaczenia splamionych i cofniętych przez szlacheckich pokurczów zepsutej i zmoskwiczonej arystokracji! O prawach najbliższego krewnego mówisz asindziej panie i dobrodzieju! A gdzież to były te prawa, kiedyś to panie markizie śp. męża mojej Marysi, a twego brata stryjecznego odsadził od sukcesyi po wspólnym waszym dziadku stryjowskim, owym szulerką wzbogaconym panu?

— Panie rotmistrze — przemówił markiz, przybierając ton urazy — jeżeli na to pan nas zaprosiłeś do domu swego?

— Mości markizie, proszę mi darować, jeżeli w ferworze wyrwały mi się przykre słowa. Mówiłem że to mój testament... a umierający słów nie obwija w bawełnę. Zaprosiłem cię panie markizie jako jedynego krewnego Kostusi po ojcu, nie z przyczyny jej ślubu, do którego ona i ja tylko mamy prawo się mieszać, ale z powodu innych rozporządzeń majątkowych, o których w krótkości tu wspomnę, a do których bytność asindziej jest potrzebną koniecznie. Jeszcze o chwilkę cierpliwości. Kapitały moje złożone w rękę księdza Fulgencjusza, gwardyana gradowieckiego klasztoru. Dyspozycję niemi zostawiam zupełnie Kostuni i Stanisławowi. Znam ich oboje, więc nie potrzebuję przypominać, że ta ich własność jest razem własnością kraju. Jak ojczyzna zapotrzebuje, oddać powinni, i oddadzą pewnie do ostatniej złotówki. I dlatego właśnie usunąłem je i schowałem przed drapieżnemi rękoma moskiewskimi.

Konstancya i Stanisław pocałowali staruszkę w ręce, i wyrzekli razem głosem cichym:

— Dziękujemy ci, drogi ojcze za twoje, zaufanie!

— Wam moje dzieci — mówił dalej — wystarczą nad wasze potrzeby dochody Zaskala. Ale trzeba przewidzieć wypadek bardzo możliwy nakazanej przez Moskwę konfiskaty, która niezawodnie nastąpi, jeżeli — co nie wątpię — wskutek denuncyacji sprawnika przyjdzie rozkaz aresztowania mnie.

— Dziadku! Ojcze! do tego nie przyjdzie! — zawołali młodzi oblubieńcy.

— Czy siak czy tak! z tego nic nie będzie przecie.

— Cicho! — zakrzyknął nagle staruszek, i wyteżył ucho, jakby czego nadsłuchiwał. — Nic, nic! tak mi się tylko zdało. Na miłość Boga nie przerywajcie; pozwólcie niech skończę, i prędej do ślubu! Tu, — mówił dalej staruszek głosem przyspieszonym, gorączkowym prawie, i wyjął z zanadru zwinęty papier. — Tu dla zabezpieczenia jest akt najformalniej sporządzony, sprzedaży dóbr Zaskala panu markizowi de Ketteler, wraz zakwitowaniem z odebranych pieniędzy.

— Akt sprzedaży na moje imię?

— Jest to akt zaufania, jaki składam w ręce twoje, panie markizie, jako krewnego Kostusi po ojcu. To Kostusi całe mienie powierzone tobie. Tym tylko sposobem może ująć Zaskale grabieży moskiewskiej...

— Ależ to zaufanie! — zawołał markiz głosem, w którym mimowoli odzywało się zadziwienie będące niekoniecznie na swoim miejscu w tej chwili.

Zrozumiał to pan Artur, i chcąc naprawić niezgrabność ojcowską, wyrzekł coperdejem z przyciskiem jeszcze dziwniejszym od markiza zadziwienia:

— Ojciec naturalnie podpisze retrocessyę.

Była to niezgrabność jedna poprawiona drugą niezgrabnością. To też pan Bartłomiej aż się zachnął, i aż mruknął pomiędzy zęby, co wcale na komplement nie wyglądało.

— Retrocessya panie i dobrodzieju nic nie nada. W razie gdyby jej była potrzebna, Kostunia by z nią wystąpić nie mogła, z tego samego powodu, dla którego sporządziłem akt sprzedaży. Zresztą czyniłbym — zda mi się — krzywdę obywatelskim uczuciom obu panów, gdybym na chwilę powątpiewał o ich dobrej wierze...

Obaj panowie Kettelerzy zaczęli strasznie krzyżować się rękoma i nawet wybaknęli coś o świętości obowiązków, o honorze, i kilka innych słów podobnych, dosyć niewyraźnie wymówionych. Widocznie byli pomieszani, i ojciec i syn. Ta cała sprawa spadła na zupełnie nieprzygotowanych. Niepoprawny pan Bartłomiej chrząknął potężnie, splunął nieznaocznie, i nareszcie ozwał się swym głosem potężnym:

— I są świadkowie!... czy tak czy siak!...

— Jest jeden świadek! największy, nieprzekupiony, sprawiedliwy i nieubłagany! — ozwał się głos księdza Damazego, który w tej chwili podniósł po nad głowy obecnych wyjęty z za kuty mniszej krzyż czarny z wyraźnym wizerunkiem umęczonego Zbawiciela.

Nastała chwila poważnego milczenia. Wszyscy się przeżegnali, wszyscy pochyłili głowy; najniżej się pochylił młody Izraelita, na którego wrażliwym i poetycznym usposobieniu, scena ta coraz większe robiła wrażenie! Markiz i kamerjunier widocznie pobledli.

— Proszę podpisać! — przemówił wreszcie stary rotmistrz.

Markizowi ręka drżała, gdy podpisywał; po nim podpisywali świadkowie.

Przez ten czas młodzi kochankowie sobą tylko byli zajęci. Kostusia niemało miała kłopotu z narzeczonym, który już od samego początku przy niespodzianem oświadczeniu rotmistrza, chciał mu przerwać, i wystąpić może — jak się obawiała z jakąś opozycją. To też i spojrzeniem i słowem nakazywała mu milczenie, a gdy to nie starczyło — powieściopisarz nie może zaręczyć czy nieposłusznych ust narzeczonego nie zamknęła pocałunkiem. Stanisław wreszcie przebył te pierwsze chwile przejścia z rozpacz do szczęścia w zupełnym prawie a bardzo naturalnym odurzeniu.

— Spieszmy do ślubu! — zagadł znowu stary, i na bladej twarzy coraz widoczniejszy był wyraz jakiegoś dotąd ledwie tłumionego niepokoju.

I znowu stanął, i znowu zdawał się przysłuchiwać. Nagle zadrżał, otworzył ruchem gwałtownym drzwi od alkierza i młodych narzeczonych popchnął do środka jeszcze gwałtowniej.

— Już się odzywa! — przemówił sam do siebie.

Nikt tych słów nie zrozumiał prócz jednego Bartłomeja.

— I ja słyszę! — szepnął staremu do ucha — jeszcze daleko.

Gdy się drzwi od alkowy sypialnej rotmistrza otworzyły, wszyscy spojrzeli zdziwieni do jej wnętrza. Znikło łóżko staro rotmistrza; natomiast przed obrazem Boga Rodzicy stał ołtarz zaimprovizowany, a przed nim czekał już ksiądz Fulgencjusz w pełnym ornacie. Narzeczeni rzucili się w objęcia starca, który gorączkowym ruchem ucałował ich.

— Prędej moje dzieci, prędej ja wam błogosławie, całym sercem, i wszelką myślą moją. Boga was poruczam opiece. Wszehmocny Panie, zlituj się nad sierotami! Klękajcie prędej, czy nie słyszycie? — dodał i wskazał po za drzwi.

Młodzi nic nie widzieli, nic nie usłyszeli, i ukłękli przed kapłanem. Ale drudzy usłyszeli. Jakoż w rzeczy samej w owej chwili uroczystej ciszy ozwał się nagle daleki, ledwie dosłyszany głos jakiegoś tętnienia dzwonkowego, jakby dolaływał gdzieś od odległego kościoła....

I kapłan przy ołtarzu śnać usłyszał, bo tylko spojrzeniem i westchnieniem błagalnym do góry zwróconem, zastąpił zwykłą przemowę przedślubną.

Zaczął się obrzęd ślubny. Państwa młodych otaczali obecni z rozmaitemi uczuciami.

Kapłan zaczął wymawiać słowa sakramentalne. I jakby wtór do nich ozwał się tętnienie dzwonka już teraz bliższe...

Młodzi klęcząc powtarzali za kapłanem słowa wiecznych ślubów.

Cicho było w alkowie. Głos dzwonka słyhać już było wyraźniej. I już się nie można było pomylić, był to głos pocztowego kałakoła, który się zbliżał coraz więcej przyspieszony, coraz głośniejszy... To pocztowa kibitka szalonym goni pędem!

Młodzi małżonkowie zamienili pierścionki. Głos kałakoła ozwał się jeszcze kilka przeraźliwemi, dzikimi tętnieniami, i jakby głos wściekłego zwierzęcia, które w nagłym i szalonym pędzie raptem wpada, zamilkł tuż przed drzwiami dworu zaskalskiego.

— Poczta!... kibitka!... — zakrzyknęli obecni.

Przestraszeni małżonkowie powstali właśnie, i w najwyższym przerażeniu tuląc się do siebie, porwali starca do piersi swoich. Głos kałakoła pocztowego wymownie i zrozumiale przemawiał do wszystkich....

Wychodzili właśnie wszyscy z alkowy, gdy się drzwi wchodowe otwarły z łoskotem, i pokazał się w nich sprawnik w mundurowej czapce na głowie, i z mundurową pod nią twarzą. Cały moskał nastojaszczy! czynownik moskiewski od stóp do głowy. Ujrzawszy alkowę oświetloną, obraz Boga Rodzicy i pod nim krzyż Zbawiciela, stanął jak wryty, bo zrozumiał wszystko. Aż zębami zazgrzytał, aż mu pianą wściekłości pobielaly usta.

Skoczył jak dzikie zwierzę od drzwi, za nim ukazały się dwie postacie żandarmów, deptających butami starego Jana, który ich chciał powstrzymać. Jednym susem dzikiego zwierzęcia stał już sprawnik przy rotmistrzu i porwał go za ramię jakby w szpony swemi złodziejskimi, kurczowo wyciągniętymi palcami.

— Wy jesteście moim więźniem! wy stary *miateżnik!*... wy Polak! wy!...

Chciał dalej jeszcze plugawemi sypać słowa, ale rotmistrz spojrzął na niego z wyrazem tak spokojnym i poważnym, że moskiewski jego język stanął mu kołkiem. Może w tej chwili przypomniał sobie starego ojca, któremu rotmistrz tyle świadczył. Lecz gdy spojrzął na młodą parę wściekłość jego wzmogła się jeszcze.

— Na Sybir! *miateżnik!*... — krzyknął dzikim głosem!

— Na Sybir Polak!

— Czekałem na pana, i jestem zupełnie przygotowany.

Pozwól pan... — przemówił Stanisław.

— Ja nic nie pozwolę! ja tu cara samego przedstawiam!

Na Sybir z *miateżnikiem!*... i na was wszystkich przyjdzie kolej! — dodał miotając w około śliną i wściekłemi spojrzeniami — na Sybir! — krzyczał jak warjat rzucając się to do starca, to do żandarmów, którzy tym razem postępowali względem rotmistrza z daleko większą przyzwoitością.

Cóż dodać do tego obrazu! Znany to obraz na naszej polskiej ziemi! ten pochód na Sybir poczynający się wśród rozpacz żegnającej rodziny. Nie będziemy się nad nim rozpisywali. Kostusi serce było przepędnione rozpaczą, ale oko jej było suche; ostatnie jej usiłowania były, by dziadka pocieszyć okazaniem odwagi niezłamanej. To też serdecznym spojrzeniem siwego oka podziękował jej jeszcze, gdy popychany przez sprawnika szedł już ku drzwiom...

— *Paszoł!... w Sybir miateżnik!* — wrzeszczał sprawnik rozwścieklony.

Stanisław tymczasem ukradkiem zbliżył się do żandar-mów i napchał im garście rublami. Żandarmi zrozumieli to i z całym moskiewskim sprytem kiwnęli tylko głowami.

Jak błyskawica przemknęło krótkie pożegnanie. Nikt nie jęczał, nikt nie krzyczał, i nikt nie zemdłał; nikt prócz cioci, która zemdlona w czulej pozie spoczywała na kanapie...

— Nam zostaje miłość! — przemówiła Konstancya — i zemsta! — dodała z przyciskiem, i dopiero pierwsze łzy trysnęły jej z oczu.

— I zemsta! — dodał Stanisław przyciskając ręce żony do serca.

— I zemsta! wieczna zemsta! — powiedział cicho sam do siebie młody Izraelita.

Markiz spojrział na syna, a kamerjunker spojrział na ojca, i zrozumieli się zapewne, bo się milczkiem z pokoju wymknęli, a uśmiech szyderyczy był na obu ustach.

Snać ujrzał to pan Bartłomiej, bo ścisnął za nimi pięści z całą siłą i mruknął:

— Żeby was kroć sto tysięcy! czy tak „czy siak i was i Moskali...

A kałakoł pocztowy tętniał swym głosem dzikim, prze-raźliwym uwożąc starego rotmistrza. — Tętniał coraz dalej i dalej, coraz ciszej i ciszej w pochodzie kibitki na Sybir daleki! aż ucichł wreszcie.

O kiedyż umilkiesz zupełnie na ziemi naszej ty dzwo-nie męczeństw narodowych?

Koniec części pierwszej.



Pod maską.

Tłumaczone z angielskiego przez J. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ DWUNASTY.

Na nieszczęście Helenki, nadeszła chwila, w której zaczęła wątpić o miłości męża. Może nie byłaby jeszcze długo poznała, czego jej życiu nie dostawało, gdyby daleka krewna matka, lady Iwona Reves, nie była przypadkiem otworzyła jej oczu. Lady Iwona, młoda i piękna kobieta, była od kilku lat zamężną i czuła się bardzo szczęśliwą. Mąż kochał ją z całego serca, a jedyne, czego jej do zupełnego szczęścia brakło, były dzieci. Państwo Reves przyjechali teraz na kilka tygodni do Suzwold i Helenka polubiła od razu wesołą i piękną Iwonę.

Pewnego dnia, gdy obie znajdowały się w pokoju dziecięcym i podziwiałały rozmaite umiejętności małej Stelli, rzekła Helenka do kuzynki:

— Jakżebyś się cieszyła, gdybyś i ty posiadała taki skarb!

— Nie trzeba pragnąć wszystkiego — odpowiedziała lady Iwona. — Miłość mego męża musi mi wszystko wynagrodzić.

— Jak myślisz, czy twój mąż kocha cię więcej, niż Artur mnie? — zapytała Helenka, śmiejąc się.

— Zapewne — zawołała Iwona bez namysłu. I poznała swój błąd dopiero wtenczas, gdy spojrziała na bladą, zmienioną twarz Helenki.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Ach, powiedziałam to zupełnie bez myśli, i zrozumiałaś mnie źle — tłumaczyła się Iwona przestraszona.

— O nie — rzekła Helenka smutnie. — Ale dlaczego mówisz, że Artur nie kocha mnie tak, jak twój mąż cię? Musisz przecież mieć powód do tego!

— Nie mogę sobie darować moich nierozważnych słów, zaręczam ci jednak, że rozumiałaś je fałszywie. Nie mówiłam przecież, że twój mąż cię nie kocha, byłoby to bardzo nie-taktownie z mej strony, twierdziłam tylko, że mój mąż kocha mnie więcej. Powinnam była właściwie powiedzieć, że Artur nie okazuje tak jawnie swej miłości — pod tym względem właśnie różnią się mężczyźni.

— Ale coś jednak musiało cię naprowadzić na tę myśl!

— Nie, nie! Mój mąż ma zwyczaj dawania mi nie-ustannie dowodów swego przywiązania, Artur jest spokojniejszą i poważniejszą — otóż cała różnica.

Helenka umilkła, ale przez cały dzień prześladowało ją to, co Iwona mówiła.

Zaczęła teraz przyglądać się uważnie Iwonie i jej mężowi i porównywać go z Arturem, a porównanie to wypadło zupełnie na niekorzyść Artura. Powodem zaś tego było to, że lord Chesley wypełniał tylko swój obowiązek, a lord Reves kochał prawdziwie swoją żonę. Skoro panowie wchodzili naprzykład do pokoju, zbliżał się Reves natychmiast do żony i rozmawiał z nią, podczas kiedy Artur brał albo gazetę do ręki, albo rozmawiał z innymi. Gdy wyjeżdżali razem, starał się mąż Iwony zawsze o miejsce obok żony, Helenka zaś siedziała zwykle obok matki lub ojca. Były to tylko drobnostki — Artur wypełniał chętnie każde jej życzenie, ale poznała teraz niestety, że gorąca miłość inaczej się okazuje.

I tak zwolna zaczęła wątpić o uczuciach męża. Czasem zdawało jej się, że posiada jego serce, potem znowu była pewną, że Artur nie kocha jej wcale, i jak nie mogło być inaczej, cierpiała niezmiernie i czuła się bardzo nieszczęśliwą.

Raz przy obiedzie mówiono o jakimś znajomym, który ożenił się niedawno i zamierzał właśnie starać się o rozwód.

— Nie można się było czego innego spodziewać — rzekł lord Reves — żonę jego zmuszono formalnie do tego małżeństwa.

Helenka spojrziała na męża i zauważyła, że zbladł i zdrzął. Jak błyskawica przebiegła jej myśl, że i on był zmuszonym zaślubić ją!

Ależ on ją kochał? A może i nie? Ach, pytanie to nasuwało jej się ciągle, a nie umiała nań odpowiedzieć. Wszyscy dziwili się też, że lady Chesley była dziś taka milcząca i zamyślona.

Nie mogąc znieść dłużej tej dręczącej niepewności, postanowiła wręcz zapytać Artura, i cokolwiekby usłyszy, zadowolnić się jego odpowiedzią.

Nazajutrz zastała go samego w bibliotece. Po raz pierwszy w życiu zbliżała się do niego z ciężkim sercem, a żaden promień szczęścia nie rozjaśniał dziś jej ślicznej twarzyczki.

— Jesteś zajęty? — szepnęła nieśmiało.

— Tak, ale dla ciebie mam zawsze czas!

Helenka stanęła przy nim i położyła mu rękę na ramieniu.

— Chciałabym cię o coś zapytać — rzekła — ale nie uważaj mnie za nierozsądną!

— Broń Boże, będę bardzo poważnym. Czy chodzi o Stellę?

— Nie! O nas oboje!

— I o cóż takiego?

— Pragnęłabym wiedzieć, czy... czy ty mnie... rzeczywiście kochasz?

— Czy kocham cię? Nie jest że to trochę zapóźno na takie pytanie?

— Proszę, odpowiedz mi!

— Więc kogóż miałbym kochać, jeżeli nie cię? — odrzekł wymijająco.

— To nie jest odpowiedzią, Arturze! Uśmiechasz się, a ja jestem w rozpacz! Powiedz, czy kochasz mnie!

Artur nie był przygotowanym na podobne pytanie. Kłamać nie chciał i nie mógł, ale sprawić jej przykrości także nie chciał, więc cóż miał odpowiedzieć? Przyszło mu jednak na myśl, że każdy mąż powinien kochać żonę i stosując się do tego rzekł po krótkim wahaniu się:

— Tak, Helenko, kocham cię!

— Doprawdy? Z całego serca? Tak, jak ja cię?

Teraz zmieszany, spuścił oczy. Nie, to już przechodziło jego siły! Badawcze spojrzenie żony odbierało mu całą pewność siebie, chcąc go więc uniknąć, przyciągnął ją do siebie i dotknął ustami jej czoła.

— Czemu pytasz o to? — szepnął drżącym głosem.

— Bo nawet inni doznawają takiego wrażenia, jak gdybyś mnie nie kochał!

— Kto?

— Mniejsza o to, kto, dosyć, że tak jest, i że ja czuję się bardzo nieszczęśliwą.

— Nie mów tego, Helenko! Czy wątpisz o mnie? Dwa lata nieomal minęło od naszego ślubu, a ja zaręczam ci, że nigdy ci się nie sprzeniewierzyłem.

— Ach, o to nie chodzi mi przecież — zawołała żywo.

— Gdybym miała powód do zazdrości, to umarłabym z pewnością. Wiem, że nie kochasz innej, ale chcę, abys mnie kochał!

— Mam nadzieję, że cię już pod tym względem uspokoiłem. Nie mówmy już o tym więcej, Helenko. Jestem twoim wiernym mężem, a ty moją śliczną żonką. Idźmy teraz do ogrodu.

Helenka tak była przyzwyczajoną do ulegania jego woli, że nie sprzeciwiała się jego życzeniu, ale spokojną nie czuła się wcale, i wątpliwości jej usuniętymi nie były.

I znów nie trwało długo, a podejrzenie wkradło się na nowo do jej serca. Tydzień później przybył proboszcz miejscowy w celu naradzenia się z lordem Chesleyem o założeniu domu dla chorych w jego dobrach i o funduszu dla wspierania biednych. Wymienił przy tej sposobności nazwisko jakiejś kobiety, która chora i opuszczona od męża, została sama na łasce obcych.

— Nie pierwszy to wypadek w mojej parafii — mówił proboszcz. — A pochodzi to wszystko z nieszczęśliwych i niedobrych małżeństw, zawartych pospiesznie, bez namysłu, lub pod wpływem przymusu. Każdy powinien przy wyborze żony kierować się własnym sercem.

— Tak — odrzekł Artur — ale jak mało ludzi jest w możności kierowania się własnym sercem!

Słowom tym ciężkie towarzyszyło westchnienie.

Helenka uczuła zawrot głowy. Czyżby i on był w takim samym położeniu? Człowiek szczęśliwy nie powinien być powiedzieć czegoś podobnego, a potem przyszło jej na myśl, że Artur właściwie wolnego wyboru nie miał. Była przekonana o jego miłości, wówczas, a jeżeli on jej nie kochał, tylko chciał wypełnić ostatnie życzenie umierającej? Czy kochał inną i zaślubił ją dlatego, że myślał, że ona umrze? Zdawało jej się teraz, że ziemia zapada się pod nią, i nie chcąc zdradzić swego gwałtownego wzruszenia, wstała i wyszła z pokoju.

— Czyż ja spałam przez ten cały czas? — powtarzała w duszy. — Czemu zaczynam teraz dopiero pojmować wszystko, teraz, gdy już zapóźno?

I gorzkie, gorące łzy spłynęły po jej twarzy. Rozpacz ogarnęła jej serce, a wszystko to było dotychczas tylko podejrzeniem! Co się stanie, gdy będzie miała pewność! Kto jej opowie, co się owej nocy działo? Do kogo miała się zwrócić?

Nagle przyszła jej na myśl stara Barbara. Czuwała ona wówczas także przy niej i była zapewne świadkiem wszystkiego, co się stało. Nie czekając więc dłużej, pobiegła do pokoju małej Stelli, która była wyłącznie oddana pod opiekę starej, doświadczonej kobiety.

Helenka przysunęła sobie krzesło do kołyski i skinęła na Barbarę, aby zajęła miejsce obok niej.

— I ja niegdyś byłam taką — rzekła, wskazując na dziecinę — a dziś jestem sama matką!

Ach Helenko — przepraszam, milady, i dziś jeszcze jesteś dzieckiem — odpowiedziała Barbara z uśmiechem.

Wiek dziecięcy jest jednak najszczęśliwszym!

Stara kobieta zdumiona spojrzała na swoją pieszczotkę.

— Przecież milady masz wszystko, czego do szczęścia potrzeba! Wszyscy cię kochają i spełniają każde twoje życzenie. Rodzice, lord Chesley...

— Myślisz? — przerwała Helenka smutnie. — Powiedz mi tylko, nie zdziwiło cię moje małżeństwo?

— Nie. Nikt się nie dziwił, bo wszakże ocaliło życie pani!

— Wiem, ale ja chciałam zaślubić mego męża nie dlatego, aby wyzdrowieć, tylko dlatego, że go kochałam, mogłaś wówczas pojąć, że ja go tak kocham? — dodała, ukrywając twarz w złotych kędziorkach dziecka.

— O tak! Lord Chesley jest pięknym, wytwornym mężczyzną, a przytem uprzejmy i dobry dla każdego. A gdy owej nocy okazywał tyle troskliwości dla pani, to byłabym życie za niego oddała. Nie, nikt się temu dziwić nie może, i nikt się też nie dziwił.

Helence podpadł nacisk, z jakim Barbara wymówiła słowo „temu“.

— A cóż ci się dziwnym wydawało? — zapytała Helenka.

Barbara rozśmiała się.

— Ponieważ milady pyta — odrzekła — to muszę już powiedzieć, że wówczas znajdowaliśmy się wszyscy na fałszywym tropie. Spodziewaliśmy się zupełnie innych zaręczyn.

— Czyich?

— Ach, to były tylko nasze domysły i nie powinnam może wcale o tem mówić, ale myśleliśmy, że lord Chesley ożeni się z miss Janiną.

Helenka osłupiała. Przez chwilę nie była zdolną do wymówienia jednego słowa, i tak długie w pokoju zapanało milczenie. Barbara zaś, nie domysłając się niczego, zaczęła znowu opowiadać dalej:

— Cała służba była pewną, że lord Chesley jest narzeczonym miss Janiny, chodzili bowiem zawsze na przechadzkę i czytali razem i grali na fortepianie. Ja też byłam tego zdania, widziałam nawet kilka razy, że pocałował jej rękę. Chodził za nią jak cień, ale pewnie dlatego, aby z nią o pani rozmawiać.

— Więc robili wrażenie narzeczonych? — szepnęła Helenka — wpół przytomna. Tego nie mogę doprawdy powiedzieć — myśleliśmy tak wszyscy, ale potem uznaliśmy naszą omyłkę.

— A owej nocy, gdy kazałam go prosić, aby przyszedł, czy był zaraz gotów?

— Nie wiem, byłam zanadto strapioną, aby na coś jeszcze zważać. Przypominam sobie tylko, że miss Janina poszła sama po lorda Chesleya, i że płakała gorzko, gdy wróciła.

— Był wówczas troskliwym o mnie?

— O i jak! Nie odstępował pani ani na chwilę i wszyscy byliśmy wzruszeni jego dobrocią.

— Bo myślał, że umrę! — szepnęła Helenka smutnie.

— Tem więcej też cieszył się, żeś pani wyzdrowiała! O, nie uwierzysz, w jakim strachu i kłopotcie byliśmy o panią! Miss Janina do dziś jeszcze nie może się uspokoić!

— Uważasz, że ona się zmieniła?

— Tak, bardzo! Dawniej była wesołą, teraz jest cichą i smutną. A jak ona panią kocha! Ale cóż to, milady, na Boga? Nie czujesz się zdrową?

— Nie, nie, słabo mi trochę... jestem zmęczoną...

Helenka straciła przytomność i gdyby nie Barbara, byłaby upadła na ziemię.

Przerażona kobieta ułożyła lekki ciężar na kanapie, i zabrała się do trzeźwienia zemdlonej. Nie przyszło jej ani na chwilę na myśl, że opowiadanie jej mogło Helenkę zaniepokoić. Uważała to raczej za dowód słabego zdrowia, i postanowiła zwrócić uwagę lady Marstone, że młoda matka bardzo jeszcze potrzebuje starannej opieki.

— Nie mów nic o tem mamie — prosiła Helenka, gdy odzyskała przytomność. Ona zaraz tak się o mnie obawia, a ja przecież czuję się już zupełnie zdrową.

— Lord Chesley jeszcze by się więcej zatrzwożył — odrzekła Barbara z uśmiechem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Teraz już wiedziała na pewno, że Artur kochał Janinę, i że tylko kaprys jej rozłączył narzeczonych. Pragnęła tylko potwierdzenia swych domysłów, ale od kogo miała się dowiedzieć prawdy? Ani mąż, ani Janina nie powiedzą jej tego, wiadomości zaś Barbary nie sięgały dalej. Helenka nie poznawała siebie samej. Nigdy jeszcze nie spędziła dotąd nocy we łzach, i nie wstawiała rano z tą myślą, że znowu musi przeżyć jeden dzień, pełen cierpienia. Musiała ukrywać swoje dręczenie i udawać wesołą, podczas kiedy serce pękało jej z bólu.

Była dotąd zanadto szczęśliwą, więc też cios ten uderzył w nią z podwójną siłą. Zaczęła teraz gorzkie sobie robić wyrzuty z powodu swego nierozważnego małżeństwa, nie byłaby jednak tego nigdy uczyniła, gdyby nie była myślała, że musi umrzeć.

— Ach gdybym była umarła — mówiła płacząc głośno, wtedy nic nie stałoby w drodze ich szczęściu! Jak oni muszą mnie nienawidzić, jeżeli rzeczywiście się kochali!

Potem znowu starała się wmócić w siebie, że to wszystko jest tylko urojeniem, ale nowe dowody, obojętności Artura przekonywały ją, że podejrzenia jej są uzasadnione. Wszakże i Janina powiedziała wówczas, że ma jakąś ciężką troskę, którą tylko śmiercią ukończyć zdoła!

I myśl jej zwróciła się także na rozwód. Czyż nie istniała możliwość otrzymania go? Artur zaślubił ją przecież tylko z litości, więc czy taki ślub był ważnym?

— Jak mało ludzi może się kierować własnym sercem.

Te słowa Artura otworzyły jej oczy! Jak mogła być dotąd tak zaślepioną!

Teraz też zrozumiała postępowanie Artura z Janiną. Obserwowała ich jeszcze pilniej, i przekonała się, że pozorny chłód i obojętność ich, pokrywały gorącą miłość!

O, czemu nie umarła wówczas. Artur byłby jej zachował miłe wspomnienie, i byłby myślał o niej, jak o dobrej

kochającej przyjaciółce. Oboje z Janiną byliby przez czas pewien nosili po niej żalobę, a potem byliby szczęśliwi, a ona by nie doznawała tej strasznej rozpacz, jaka przepełniła teraz jej duszę.

Jedyną pociechą była małeńka Stella, gdy dziecina zdaleka już wyciągała do niej rączki, i gdy przyciskała ją do serca, wtedy zapomniiała o wszystkim i czuła się zupełnie szczęśliwą.

Raz, gdy zrozpaczona, poszła do pokoju dziecka, aby się pocieszyć widokiem swego skarbu, zastała tam Janinę, bawiącą się z Stellą, i na widok ten doznała po raz pierwszy gorzkiego uczucia zazdrości.

— Zabrała mi miłość mego męża — pomyślała, a teraz chce mi jeszcze zabrać miłość dziecka!

Ale zaraz potem zawstydziła się tego. Wszakże Janina zawsze była dla niej dobrą i pełną poświęcenia.

Młoda dziewczyna z uśmiechem spojrzała na wchodzącą.

— O schwytałaś mnie na gorącym uczynku — zawołała. — Przychodzę tu często potajemnie, aby popieścić Stellę.

— Kochasz ją tak bardzo?

— Bardzo!

— Gdybym umarła teraz Janino — rzekła — zajęłabyś się mojem dzieckiem?

— Zapewne — odpowiedziała młoda dziewczyna spokojnie.

— Przypominasz sobie, że mówiłaś raz, że nigdy za męża nie wyjdiesz. Myślisz, że nie poszłabyś nawet w razie mojej śmierci?

Pomimo całej umiejętności panowania nad sobą i obawy zdradzenia swej tajemnicy zadrzała Janina i gorący rumieniec pokrył jej twarz. Serce jej odpowiedziało już na to pytanie, zanim zdążyła usta otworzyć. Wiedziała przecież bardzo dobrze, że zostałaaby natychmiast żoną Artura, gdyby on był wolnym!

— Droga Helenko — rzekła po chwili milczenia — któż może dziś powiedzieć na pewno, że to a to jutro uczyni, albo nie uczyni! Sądzę, że nie pójdę za męża, bo nie wiem, za kogo. Ale czemu ty myślisz o śmierci?

— Żałuję szepnęła Helenka z smutnym uśmiechem — że wówczas nie umarłam! Byłoby to lepiej dla nas wszystkich, wierząc mi Janiu!

Janina przerażona, spojrzała na mówiącą.

— Nie mów tak, kochanie — zawołała — dlaczego żałujesz, żeś nie umarła? Jesteś przecież promieniem słońca dla całego domu, a każdy z nas oddałby chętnie życie za ciebie!

— Można dać nawet więcej jeszcze, niż życie!

— Co się z tobą stało, Helenko? Co cię dręczy? Powiedz mi, może będę ci mogła pomóc! Wiesz, jak cię kocham.

Teraz nadeszła chwila, w której Helenka mogła była wyznać kuzynce wszystkie swoje podejrzenia i wątpliwości. Ale męcząca zazdrość zamykała jej usta, chociaż nie miała prawa zazdrościć tej, która dla niej poświęciła całe swoje szczęście! I gdy spojrzała w pogodne oczy Janiny, zawstydziła się swoich uczuć.

— Och, Janie! szepnęła, ukrywając twarz na ramieniu młodej dziewczynki. — Ja ci tak ufam, tak wierzę w ciebie!

— Dziękuję ci — odrzekła Janina serdecznie. — Zdaje mi się czasem, że jestem twoją matką, siostrą i przyjaciółką w jednej osobie. I zawsze chciałabym się opiekować tobą i strzedz od złego ciebie i twoją dziecinę!

— Te słowa uspokoiły Helenkę. Pragnęła gorąco wyznać wszystko Janinie, obecnie jednak było jej to niemożliwym. Odsunęła się więc lekko od niej i zapytała znowu:

— Myślisz, że Artur mnie kocha?

— Naturalnie! Przecież nie wątpisz o tem?

— O — trochę...

— Ależ to bardzo z twej strony niesłusznie! Nie mogę sobie wyobrazić lepszego, wierniejszego i uprzejmiejszego męża, jak Artur!

— Tak — ale czy on mnie kocha? — powtórzyła Helenka.

— Zapewne! Bądź spokojną i nie myśl o tem!

— Ty Janiu nie jesteś wiele starszą odemnie, a jesteś o tyle rozsądniejszą i lepszą. Chciałabym we wszystkim być do ciebie podobną, i postępować zawsze za twemi radami i wskazówkami!

— Więc pozbadź się przedewszystkiem podejrzenia względem twego męża, i miej do niego zaufanie, inaczej nigdy nie będziesz szczęśliwą!

Przez kilka tygodni po tej rozmowie czuła się Helenka spokojniejszą i szczęśliwszą. Idąc za radą Janiny, usiłowała zapomnieć o swych troskach i być tak wesołą i zadowoloną, jak dawniej. I byłaby może odzyskała całą swoją swobodę, gdyby tak namiętnie nie kochała Artura.

Na nieszczęście jednak zaszedł wypadek, który dowiódł jak słusznymi były jej wątpliwości i podejrzenia. Obok biblioteki znajdował się mały pokój, zaopatrzony we wszystko, co było potrzebnem do malowania. Tutaj przebywali raz po raz domownicy lub goście, jeżeli byli zwolennikami sztuki malarskiej. Obecnie nikt z tego nie korzystał, pewnego dnia wszakże zapragnęła Helenka dokończyć od dawna zaczętego szkicu, i nie mówiąc nikomu, dokąd idzie, poszła zaraz po śniadaniu do owego małego atelier. — Poprzednio była o tem jeszcze mowa, że Helenka wygląda blade i mizernie, a sir John twierdził, że za mało ma ruchu i za wiele przebywa w pokoju.

— Wychodzę zawsze na przechadzkę — odrzekła młoda kobieta bez namysłu — ile razy Artur mnie wezwie.

— Spodziewam się — odparł lord Chesley — że nie zarzucasz mi braku uwagi. W każdym razie przepraszam cię, jeżeli zawiniłem!

Janina postanowiła zaraz rozmówić się z nim i prosić o większą dla Helenki wyrozumiałość.

Po śniadaniu przechodził Artur zwykle do biblioteki, aby czytać gazety, dziś więc poszedł także, i nie przypuszczał ani na chwilę, że Helenka znajduje się w pracowni. Po chwili weszła Janina.

Początku ich rozmowy nie mogła Helenka dosłyszeć, ale potem zrozumiała wyraźnie słowa Janiny:

— Ona taka wrażliwa, Arturze! Każde twoje słowo ma także dla niej znaczenie!

— Ach, wszakże mam najlepsze zamiary — odparł lord Chesley. — Ale nie umiem zawsze panować nad sobą! Musisz sama przyznać, że i tak już mam dosyć ciężkie życie, i powinnaś być ostatnią, która mi zarzucać może brak...

Helenka dalej słuchać nie chciała. Jak ugodzona ciosem śmiertelnym, zerwała się z krzesła i wybiegła z pokoju.

Artur usłyszał szelest w pracowni.

— Tam jest ktoś! — zawołał przerażony.

Ale gdy otworzył drzwi, już w pokoju nikogo nie było.

Teraz nie potrzebowała Helenka dłużej wątpić — teraz wiedziała całą, okropną prawdę. Gdyby Artur ją kochał, nie mówiłby czegoś podobnego, ożenił się więc z nią dlatego tylko, aby wypełnić życzenie umierającej! Kaprys jej stał się powodem nieszczęścia trzech osób.

I po raz pierwszy wstydziła się swego postępków! Co uczyniła, nieszczęsna! Prosiła człowieka, zaręczonego z inną, aby ją pojął za żonę, nie pytając nawet, czy ją kocha! Jak mogła być tak nierozważną!

— Rozumiem już wszystko! — mówiła sobie w duszy. — Artur i Janina byli zaręczeni, a rozdzieliłam ich! Wypełnili moje życzenie w tej myśli, że umrę. Oszukałam ich, on zaś musi dotrzymać danego mi słowa. O, jakże się wstydzę! Artur jest nieszczęśliwy, Janina także i pomimo to, chociaż tak ciężką wyrządziłam jej krzywdę, wstawia się za mną u niego i zwraca mu uwagę na moją wrażliwość! O, gdybym umrzeć i wrócić mu wolność mogła!

Gdy pierwszy wybuch żalu minął, postanowiła Helenka silnie, nie okazywać nikomu swej rozpacz i znosić w milczeniu smutny swój los.

Od owego dnia zmieniła się zupełnie. Zawód, jakiego doznała, zbyt ją boleśnie dotknął, kochała też męża za gorąco, i nie tylko, że przygnębiała ją rozpacz, że nie posiadała jego miłości, ale nadto wstydziła się niezmiernie, że zmusiła go do zaślubienia jej. Stała się teraz chłodną i sztywną względem niego, a własny ból nauczył ją pojmwować ból serca nieszczęśliwej Janiny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)





SZEWczyk SZCZYGIEL,

konfederat.

(Szkic z przeszłości).

Skreślił Henryk Mierzeński.

Ciąg dalszy.)

XI.

Następstwa.

Był to prześliczny poranek czerwcowy.

Słońce, podniósłszy się już dobrze w górę, okazywało nie więcej jak dziewiątą godzinę; rosa perliła się na rozkwitłych pączkach kwiatów małego ogródka Leosi, zdala już zalecającego się precudnym aromatem i bawiącą, oczy mozaiką, aksamitnych gwoździków, białych lewkonii i innych różnobarwnych ogrodowych kwiatów.

O ile sobie przypominam, piękne czytelniczki znają już z powyższych rozdziałów ów mały ogródek, obok starej kamienicy na przedmieściu; nie widzimy więc potrzeby bardziej się w tym przedmiocie rozpisywać.

Zamilczam więc tym razem zupełnie i bez dalszych korowodów wprowadzam moich czytelników do najgłębszego zakątka ogródka, gdzie z wrodzoną wszystkim powieściarzom ciekawością, zajrzymy do małej chmielowej altanki. Chociaż to już w każdej niemal powieści, wszystkie sceny romansowe zwykle po altanach lub wioskach się odbywają, darujcie, że tą razą wstąpię w ślady starszych naszych powieściopisarzy, i posłucham cichej rozmowy Piotrusia i Leosi w chmielowej altance małego ogródka na przedmieściu.

Leosia, siedząc na małej darniowej kanapce, miała listki woniającej lewkonii; Piotrusz oparty o ścianę altanki, stał obok kanapki i z dziwnie rozmarzonymi oczyma wpatrywał się w upadające listki pomiętego kwiatu...

— Panno Leosio! — przemówił cichym głosem — nie mniej tego kwiatu, daj mi go na pamiątkę... a może w boju ustrzeże mnie jak święty szkaplerz matki mojej, od nieprzyjacielskiej kuli.

— Kwiatek zwiędnie i śladu po nim nie zostanie — szepnęła Leosia, i pełnemi, ciemnymi oczyma z dziecięcą naiwnością wpatrzała się w rozmarzone oblicze młodziana...

— Ach! — on we mnie podwoi siłę, on mi doda wśród boju odwagi — przemówił Piotrusz głosem, z głębi duszy wy dobytym...

— Na żądanie, masz pan ten marny listek — odpowiedziała Leosia z krasnym na licach rumieńcem — niech on będzie pamiątką wdzięczności za dzisiejsze obronienie mnie od tych strasznych ludzi...

— Panno Leosio! zawołał Piotrusz, a serce zabiło mu młotem w piersiach — to było tylko moim obowiązkiem.

— Leosio — dodał mocniejszym i serdecznym głosem — dałaś mi kwiatek, ale powiedz, czy i na pamiątkę tych kilku chwilek, które tu z sobą teraz spędziliśmy?...

— Powiedz — dodał i drżącą dłonią ujął jej drobne rączkę — dla mego spokoju wśród bitwy z wrogiem, powiedz, kochasz mnie?

Szkarłatny rumieniec rozlał się po bledziuchnych licach Leosi, ciemne, szafirowe oczęta zajaśniały nieziemskim blaskiem, i cicho, smętne, ledwo co dosłyszane „kocham“ wydobyło się z dziewiczej piersi.

I cicho zrobiło się w chmielowej altance; ptaszęta tylko w około nuciły radośnie, a szum starych lip mieszał się z dźwiękiem, poważnych dzwonów nad-Goplańskiej stolicy.

Piotrusz i Leosia milczeli — w upojeniu prawdziwego szczęścia zabrakło im słów do wyrażenia wzajemnych uczuć.

W tej chwili rozmawiali oni wzrokiem, tą najzrozumiałszą kochanków mową, o której to tak cudnie wyraził się nasz Adam:

„Kochanko moja! naco nam rozmowa?
Ozemu chcąc z tobą uczucia podzielić,
Nie mogę duszy prosto w duszę przelać?
Za co ją trzeba rozdrabniać na słowa,
Które, nim słuch twój i serce dościgną,
W ustach wietrzeją, na powietrza stygną...“

Piotrusz marzył, i Leosia marzyła — o czym? to tylko znane tym, których słabe serca uległy nielitościwym strzałom Kupidyńka...

Nie zazdrościmy im tych kilka błogich chwilek szczęścia — to może ich ostatnie szczęsne chwile!..

Mineło kilka dni.

W Gnieźnie na rynku, ruch; tłumy mieszkańców wszystkich prawie klas przesuwają się przez szerokie ulice, a wszystko dąży z pospiechem ku rynkowi, gdzie już niezwykajne widowisko się rozpoczęło. Pod ratuszem wystawiono wysokie rusztowanie, na rusztowaniu wbity słup w kształcie szubienicy. U wierzchołka słupa przybita tablica z napisem: *Budkowski, sierżant jazdy z oddziału Malczewskiego, za gwalt publiczny i zbiegostwo jako infamis osądzony i w razie wysledzenia tegoż karze śmierci uległy.* W około rusztowania szeregi piechoty przestrzegają porządku, i zatrzymują tłoczący się lud; naprzeciw jazda w gali, dla upiększenia i zwiększenia uroczystego aktu.

Godzina dwunasta w południe uderzyła na ratuszowym zegarze; na rusztowanie wniesiono wypchaną ze słomy figurkę, kształtu człowieka, z tablicą na przodzie przybitą z napisem tym samym, co i na pierwszej.

Nastąpił akt powieszenia — uroczysta cisza zaległa tłumy ludu i głos z rusztowania dał się słyszeć:

— Były wachmistrz Budkowski — towarzysz Kawecki, i następni (tu wyliczył cały szereg zbiegów) jako banicy, infamisy i zbiegowie, zostają niniejszem na karę śmierci przez powieszenie osądzeni, co podpisem naczelnego wodza konfederacji Wielkopolskiej, Malczewskiego, stwierdzono.

Wywieszono figurkę ze słomy na słup — bębny uderzyły i cały, smutny ten akt został ukończonym.

Wojsko odmaszerowało w porządku; lud tłoczył się przez ulice wracając do domów: jedni w rozmyślaniu nad ostatniem widowiskiem, które niemiłe na widzach wrażenie zrobiło, inni znowu różną rozmową zajęci.

Przystąpmy bliżej rusztowania, i posłuchajmy rozmowę, którą kilku z mieszczan między sobą prowadzi.

— A więc ten Budkowski zakochał się w córce pana Ostoji? — zapytał się ciekawie jakiś szlachcic o siwym wąsie i białej brodzie, kapotowego mieszczanina.

— Ba! — ozwał się tenże i sumiaście najeżył strzępiastego wąsa — żebyć ją kochał jak to Pan Bóg każe... toby to jeszcze uszło mu płazem.

— Ale — dodał — jakoś tam inaczej jemu się zachciało — taj go nasz dzielny Szczygieł trochę poturbował.

— I cóż? zemknął ze służby? — ryknął basowym śmiechem szlachcic i musnął się po białym wąsie.

— A juźci! — odpowiedział mieszczanin uśmiechając się pogardliwie — chciał się koniecznie zemścić na Szczygle, dobrał sobie kilkunastu ludzi, urwiszów, i rabuje teraz wieś, obłupia podróżnych, czekając dogodnej chwili, aby się pomścić.

— Ha! ha! ha! ha! — zaśmiał się szczerze słuchający i podgarnął czupryny — ponoś on się jej nie doczeka!

— Ha! cóż to mosanie — ozwał się z uśmiechem kapotowy — choć to Szczygieł rotmistrzem i ma swój oddział, zawsze to nie szlachcic! a Budkowski choć wachmistrz, ale herbowny!

— Eh! furda to te herby, gdy cnoty nie ma! mruknął pod nosem stary szlachcic i namarszczył brwi.

— Taka to teraz sprawiedliwość na świecie! — odparł z determinacją kapotowy mieszczanin, wyciągnawszy rękę do pożegnania:

— Do widzenia Jakóbie!..

— Bóg z wami panie Walenty! — odrzekł szlachcic i nasunawszy czerwoną konfederatę na brwi, znikł w tłumie przechodniów.

Tymczasem przedmieściem wschodniem spieszył nasz Piotrusz ku starej kamieniczce pana Kazimierza.

Na jasnym, wypogodzonym jego czole ujrzalesz teraz kilka faldów, które coraz to się rozszerzały; oczy gorzały mu jakimś gorączkowym blaskiem — w głębokim zamysleniu nie uważał na wielu przechodzących znajomych, którzy go witali, szedł tylko spieszo, pomrukiwując czasem z cicha.

Właśnie teraz wracał on z posłuchania u Malczewskiego. Z polecenia tegoż miał nasz Piotrusz zaraz na drugi dzień z całym swoim oddziałem zbrojnie wyruszyć przeciw Budkowskiemu, który zebrałszy w okolicy Pyzdr bandę lotrów i urwiszów, rozbijał dwory i przeszkadzał konwojowaniu wiktuałów do konfederackich obozów.

Nie po myśli Piotrusia było to polecenie.

Piotruś, który mężnie umiał pierś nastawić wrogowi, który kropił Moskała jak drugi Morawski, uważał za niegodne siebie, bić się z hałastrą, która nie warta była zginąć od miecza prawej braci — nierównie go bolało to, że wśród wojny z Moskałami, brat na brata oręż musi podnieść. Piotruś na grobie ojca przysiągł zemścić się śmierci jego, walczyć z Moskałem do ostatniej kropli krwi — jakoż to teraz wykona? Może zginie od kuli swego brata!

Takie to niespokojne myśli wirowały po głowie naszego „Sierotka“ i jakieś straszne przecucie owładło sercem, myśli płątały mu się w głowie.

Zatopiony w rozmyślanii, ujrzał się Piotruś przed drzwiami starej kamienicy na przedmieściu.

Spojrzał w okna pierwszego piętra... z pomiędzy kwiatów w doniczkach wyglądała twarzyczka o ciemnych włosach i ciemniejszych jeszcze oczach.

Była to Leosia.

Piotruś poskoczył prędko na schodki i znikł w ciemnej sieni kamienicy.

XII.

Zdrada.

Była to piękna, miesięczna noc lipcowa.

Na niebie roziskrzonym miliardami gwiazd, nie dostrzegłbyś ni cieniu małej chmurki; w powietrzu panowała jakaś uroczysta, posępna cisza, bo i drzewa i najmniejsze trawki umilkły, pogrążone w głębokim uspieniu.

Znajdujemy się w szerokiej kotlinie gęstego jaru, ocienionego rozłożystymi, stuletniami dęby, gdzieś tam wysokim, czarnym bukiem, lub smukłą białą brzoźką.

Wokoło nas rozłożone, palą się jasne ogniska, przy nich żołnierze obozowym zwyczajem zasiadłszy, gwarzą przy kurzących się kociołkach wonnego bigosu.

Ażeby dłużej pięknych czytelniczek nie nudzić, powiemy bez dalszych domniemywań, że jesteśmy w lesie, o pół mili od Pyzdr oddalonym, w znanej nam już z poprzednich rozdziałów „Michałowej Kopani“, gdzie niegdyś nasi konfederaci drogo, bo śmiercią swego dowódcy walnie okupili zwycięstwo.

I dziś widzimy tu obóz, obóz konfederacki młodego Piotrusia, który już od dwóch tygodni ścigając bandę Budkowskiego, rozłożył się tu obozem, niedaleko swego rodzinnego miejsca.

Piotruś klęczał na mogile ojca i modlił się, a widoczne święte jakieś wzruszenie malowało się w jego twarzy. I znów znalazł się na tem miejscu, które tak święte dla niego kryło zwłoki, znów mógł się zapłakać i westchnąć za duszę ojca, którego tak gorąco kochał!

Różne, przerożne uczucia wzruszyły w tej chwili jego sercem. Przypomniał sobie stary pochyłony domek pyzdrowski, ukochaną matkę, która płacząc błogosławiła idącego na wojaczkę — starego ojca, który konając zimną dłonią ścisnął głowę syna, niedawne utarczki z wrogiem, wreszcie... ostatni może pocałunek pożegnalny w chmielowej altance na Gnieźnieńskim przedmieściu.

Wszystkie te obrazki pojedynczo stanęły mu przed oczyma. Piotruś westchnął i zadumał się.

Nie długo to jednak trwało, jakaś swobodniejsza myśl poruszyła głowę, młody nasz Szczygieł ocknął się, potarł ręką po czole, i cichym głosem szepnął:

— Nie czas o tem tu teraz myśleć... marzenia i żal za przeszłością osłabiają siłę wiary w przyszłość.

Do czynu! do pracy teraz prawy synu ojczyzny!

Piotruś stłumił w sobie wszelkie uczucia, jakie go mogły wiązać z miłymi wspomnieniami przeszłości, zaparł się sam siebie i należał już tylko sprawie narodowej.

Otrzymałszy rozkaz ścigania bandy Budkowskiego, skrzywił się, bo czuł, że to polecenie nie odpowiadało zupełnie jego zasługom. Poświęciwszy się jednak sprawie narodowej, usłuchał polecenia — i choć z dziwnem jakimś przykrem przecuciem, pożegnał Leosię, starego pana Kazimierza i wyruszył z swoim oddziałem nad Wartę ku Pyzdom.

Ale wracajmy do dalszego opowiadania.

Tymczasem nie minęło ćwierć godziny, po północy, gdy pomiędzy obozującymi jakiś niezwykły ruch i gwar począł się szerzyć. Północno-zachodnia część lasu rozświeciła się jakby poranną zorzą oświetloną, czarne buki jaskrawem światłem opromienione, wyglądały jak olbrzymy wśród noc-

nych cieni, a sklepienie nieba powlokło się jasną luną, co chwila zamącąną słupami iskier i dymu.

— Gore! gore! — rozbiegł się okrzyk w całym obozie.

— Pożar! — powtórzył nieprzytomnie Piotruś, i spojrział w stronę łuny.

— Bracia! to w Pyzdrach gore! zawołał zebrawszy całą przytomność umysłu nasz „Sierotka“ — to Moskałe, albo ten urwisz Budkowski niszczy biedne miasteczko.

— Dwunastu jezdnych niechaj wystąpią jako ochotnicy — zemną na rekonesans.

W mgnieniu oka poczet był w pogotowiu; Piotruś wydał ostatnie rozkazy, zalecił pozostałej części oddziału ciszę i spokojność i niedługo potem wyruszył na czele małego hufca ochotników w stronę Pyzdr ku pożarowi.

Daleko za jarem, szerokim błoniem pędził nasz „Sierotka“ na czele dwunastu konfederatów ku jasnej łunie niedalekiego pożaru. Noc jasna, miesięczna, długie cienie za nimi rzuca i tylko konie parszają, a echo tententu kopyt odbija się po błoni, opierając się w dalekim jarze.

Wtem o kilkadziesiąt kroków od naszych konfederatów zarysowały się cienie mknących ku stronie jaru jeźdźców.

— Stój! kto jedzie! — ozwał się awangarda.

— To my!.. Swoi!.. — krzyknął jakiś głos basowy ze strony przeciwnej.

— Stój! Stój! — krzyknęli nasi i pięciu konfederatów w mgnieniu oka otoczyło nieznanych jeźdźców.

— Coście za jedni? — krzyknął Piotruś, łysnąwszy ostrzem szabli — skąd i dokąd?

— A my... my wracamy do Rataj... ot tu niedaleko — my pocziwi ludzie... nikomu nic złego nie robimy — wyjąkał z przestachem najstarszy jak się zdaje wiekiem i znaczeniem jeździec i chwycił się łapczywie ogromnego nosa.

— Jak się nazywasz? — ozwał się groźnie Piotruś.

Ja... ja... to ja Budkowski, a ten — dodał wskazując na towarzysza — to mój przyjaciel, Kawecki.

— A ptaszku! mam cię! — zawołał z radością Szczygieł — nie poznałeś to mnie?

— Poznałem... poznałem — jęknął szanowny pan wachmistrz — poznałem pana rotmistrza i właśnie to staram się, aby jakim sposobem dostać się pod jego rozkazy.

— Co, ty? — zawołał zdziwiony Piotruś.

— Ja, ja, jakim Budkowski, ja — wołał pan wachmistrz z dzikim jakimś w burych oczach wyrazem, który wśród nocy trudno było dojrzeć.

— Oddaję się z wszystkimi ludźmi rozkazom pana rotmistrza — i odpasawszy korda, złożył go w ręce Piotrusia.

Piotruś zdziwiony patrzył na to wszystko, niedowierzając swoim oczom. Nie mógł sobie wytłomaczyć, jakim sposobem tak zajadły jego nieprzyjaciel, jakim do niedawna był Budkowski, mógł się tak prędko w uległego sługę przerobić?

Budkowski i Kawecki, zsiadłszy z koni, ukłękli przed Piotrusiem. — Budkowski począł szlochać, wymownymi słowami błagając o przebaczenie, wyrzucał sobie, że śmiał oręż podnieść przeciw własnej braci i na krzyż Zbawiciela przysięgał, obiecując poprawę.

— Do samego Malczewskiego pójde i wyblagam u niego przebaczenie! — wołał i po raz drugi upadł na kolana.

— Przebaczam ci. — odrzekł Piotruś i kazał mu powstać — od wyższej władzy jednak jesteś na ukaranie skazanym.

Budkowski powstał i z uszanowaniem oświadczył, że cały jego oddział rozkwaterowany w Ratajach, folwarku pół mili od miejsca odległym, oczekuje teraz rozkazu pana rotmistrza.

— Dobrze — odrzekł Piotruś — spieszymy więc do Rataj, przy łunie pożaru będzie nam jaśniej.

— Ty, Budkowski, bądź naszym przewodnikiem.

Budkowski zgrzytnął zębami, a bure oczy zajaśniały mu blaskiem fosforycznym.

Wtem nowa jasność ogarnęła rozprawiających. Tam daleko w stronie Pyzdr buchnął krwawy płomień i świeżą warstwą dymu i iskier podsycił bledniejącą już lunę; tysiące iskier zionęło do góry, a czarne kłęby dymu przybierały jakiś czerwono-żółty połysk.

(Dokończenie nastąpi.)



Nasze ilustracje.

(Chodkiewicz pod Chocimem.)

Między polskimi bohaterami jedno z pierwszych miejsc należy się bez wątpienia Chodkiewiczowi, który wielkie oddał przysługi swej Ojczyźnie, broniąc mężnie jej posiadłości. Dwie sławne bitwy, które wygrał Chodkiewicz, czynią jego imię w dziejach polskich wiekopomnem.

Roku 1605 toczyła się wojna z Szwedami w Inflantach. Chodkiewicz miał szczupłe siły wojskowe, gdyż liczył tylko 3400 żołnierzy, a Szwedzi 17,000; było zatem pięciu Szwedów na jednego Polaka. Mężny Chodkiewicz nie uląkł się tak przeważnej siły, ale śmiało stanął do boju. Tam odznaczyli się świe-

65,000. Dzielny Chodkiewicz hetmanił polskim zastępom. Kiedy wojsko polskie stanęło pod Chocimem, wtedy Chodkiewicz przed bitwą przemówił treściwie do wojska, a podniósłszy ręce do góry, tak kończył: „Ty potężna sprawiedliwości, przez którą panują królowie, a wojownicy otrzymują zwycięstwa! powstań na zawziętych imienia twojego bluźnierców, przyspiesz krzywd naszych pomstę, wyrwóć palcem twoim tłumne

ogromne swe działa i straszny z nich ogień miotać zaczęli; drżała ziemia od huku, pałało płomieniami powietrze; lecz dla nieumiejętności puszkarzy kule, górami cały obóz przenosząc, daleko bez czynienia szkody padały. Szło jednak pogaństwo gęstymi kupami. Kozacy ściśle za wozami zbici, z jańczarek i samopałów ścielą trupów szeregi; bardziej ich jeszcze niespodziany ośmielił przypadek. Czelaź z cbozu hetmańskiego



Bartosz Głowacki pod Raclawicami.

tnie polscy husarze, którzy przypuścili atak na szwedzkie rotty, przebijali kopijami nieprzyjacielskie zastępy, a szablami, niby makówki, szwedzkie głowy ścinałi. Do tego wiatr zaczął Szwedom w oczy rzucać kurzawę, to też niedługo Szwedzi tył podali, szukając w ucieczce ocalenia. Sam nawet Karól, król szwedzki, o mały włos byłby się dostał w ręce Polaków i tylko poświęcenie pewnego Szweda, który mu swego konia podał, od zguby go ochroniło. Padło tam 9000 Szwedów, podczas gdy naszych tylko kilkuset zginęło. Kiedy goniec z wieścią o tem zwycięztwie przybył do Krakowa, wtedy właśnie miał X. Skarżga w kościele katedralnym kazanie. Padli wszyscy zebrani na kolana, dziękując za tak świetne zwycięztwo oręęża polskiego.

Roku 1621 Turcy w ogromnej sile szli na Polskę, chcąc ją zawojować. Mieli Turcy 300,000 wojska, a Polacy tylko

pohańców szeregi, i pokaż, że jesteś Bogiem i obrońcą naszym!”

Mowa ta lży i święte uniesienie w słuchającym rycerstwie wznieciła. Pałali wszyscy spotkania się żądzą; niektórzy widząc się przed bramami wieczności, naprędce ostatnią wolę swoją pisali; wielu przed kapłanami obozów usprawiedliwiał się Bogu: wkrótce hufy całe, głosu tylko hetmana czekając, hymn Boga-Rodzico śpiewać zaczęły.

Tymczasem Osman, nadęty swoją potęgą, z wysokości rzuciwszy oczy na szczupły obóz polski, rozśmiał się z pogardą; i nie dawszy swoim czasu ni odpocząć, ni się pokarmem pokrzepić, pewny, że dziś jeszcze wojsko polskie wytepi, do szturm pułki swoje wysłał. W mniemaniu, że obóz kozacki najmniej był obwarowany, że otaczające go wozy łatwo będzie rozerwać, na Kozaków pierwszy zapęd wyrzucił rozkazał: tam silny znalazłszy odpór, sprowadzili Turcy

wysypała się na szanice, by się bitwie przypatrzeć. Kozacy, biorąc ją za wysłany ku sobie posiłek, wypadają z okopów i uderzają na Turków, pędzą ich i znów ustępują sami; byliby może ulegli pod liczbą, gdyby Chodkiewicz, wraz niebezpieczeństwo spostrzegłszy, nie posłał im dwóch pułków piechoty, które podszedłszy wawozami, wpadły w oba skrzydła tureckie. Rozdrażniony tym widokiem zapalczywy Osman, sam przebiega swe szyki i zachęca do walki, nakoniec niepotykających się dotąd jańczarów do boju wysłał: lecz nie dał im czasu nadciągnąć bacznego na wszystko Chodkiewicz; porwawszy z ręki giermka szyszak i pałasz, zawołał na swój pułk i na Lisowczyków chorągwie. Najężone kopijników włócznie wszystko łamają, wszędzie rzeź i zamieszanie sprawiają; z obu stron nowe nadciągają posiłki, szerzy się walka; rycerstwo widząc, jak sędziwy hetman sam szablę w

krwi nieprzyjacielskiej pławi, podwaja odwagę. Zapadało słońce; Osman z gniewu i rozpaczy bluźniąc Bogu, wyrzucając jańczarom że się bić zapomnieli, na odwrót zatrzeć rozkazał*).

Kilkanaście dni trwały boje nieustanne. Polacy cudów męztwa dokazywali. W końcu już tylko mieli dwie beczki prochu. Ale i Turkom źle się powodziło. Stracili 60,000 poległych, a przytem głód i zimno im dokuczały. Zawarli zatem pokój z Polakami i cofnęli się do Turcyi.

Na podziękowanie Bogu za to wielkie zwycięstwo odprawiają się co rok każdego 10 Października w polskich kościołach dziękczynne nabożeństwa. Uważ, wszelki Polaku, że gdyby nie męztwo naszych przodków, jużby może dziś nietylko w Polsce, ale i w innych krajach mahometańska panowała wiara. Chodkiewicz zakończył chrobry żywot pod Chocimem z ran i utrudzenia. Po nim objął dowództwo Stanisław Lubomirski. Ilustracja albumowa przedstawia oddanie buławy przez Chodkiewicza Lubomirskiemu.

Józef Chociszewski.

*) Opis bitwy wyjęty z dzieła Niemcewicza: Panowanie Zygmunta III.



Westchnienie.

O jakżeś Ty dobry, Boże!

Że słońcu świecić pozwalasz,
Że mi wieczorne Twe zorze
Na cichem niebie zapalasz.
Żeś w takie cudne sukienki
Przyodział łono natury,
Że mi tak słodkie piosenki
Wiosenne śpiewają chóry!

O jakżeś Ty wielki, Boże!

W stworzenia Twego ogromie!
Jak trwożnie sercem się korzę,
Czując Cię wszędzie widomie;
Czując na niebie i ziemi,
W harmonii, co światy sprzega,
W mądrości, co rządzi niemi,
W myśli, co Ciebie dosięga!

O! jakżeś Ty mocny, Boże

Miłości i prawdy mocą!
Co nas przez życia bezdroże
Prowadzą, jak gwiazdy nocą.
Co leją w rany najkrwawsze
Tak błogi balsam pociechy,
Że twarz wybranych Twych zawsze
W niebiańskie zdobna uśmiechy!

Czuję Cię! widzę i słyszę!

O Tobie życia gwar dzienny,
Wieczorne mówią mi cisze
I światów orszak promienny!

O Tobie, któremu składam

Życie me. czyste cierpieniem —

O Tobie, przed którym padam

Tem jednym, wielkiem westchnie-

niem!

Marya B.



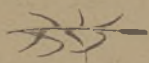
Kardynał hrabia Mieczysław Ledóchowski

obchodził dnia 15go bm. srebrny jubileusz kardynalski. Były arcybiskup gnieźnieński-poznański liczy 77 lat, urodził się w Górkach w Królestwie Polskiem



Kardynał Ledóchowski.

dnia 29go października 1822go roku. Otrzymał święcenia kapłańskie w Rzymie 1845go roku, został 1861go r. biskupem tytularnym Teb, a później nuncyuszem papieżkim w Brukseli. Z Brukseli powołany został hrabia Ledóchowski w roku 1866go na arcybiskupa gnieźnieńskiego-poznańskiego i rządził zaszczytnie dyecezyą przez 8 lat. Walka kulturalna przerwała błogą jego działalność, a pozbawiony przez rząd godności arcybiskupiej, wtrącony został do więzienia w Ostrowie, w którym przesiedział dwa lata. Już w więzieniu doszła go wiadomość 15go marca 1875go roku, że Papież Pius IX powołał go na kardynała. Jakoż po odsiedzeniu kary wyjechał do Rzymu i wnet zajął wybitne stanowisko w kolegium kardynalskiem. Dziś kardynał Ledóchowski zajmuje najwplywowsze i najważniejsze stanowisko prefekta Propagandy, zwanego także „Papa rosso.” — Oby Bóg zachował polskiego dostojnika kościelnego, w jak najdłuższe lata przy życiu i czerstwem zdrowiu! D.



Z PIEŚNI.

Jest w piersi mojej cichy grób,
Żaden go kwiat nie stroi,
I żaden tam nie leży trup,
W śmiertelnej swej ostoi...

Nie dzwonił nad nim dzwonów spiż,
Ni z czarnej ziemi bryły,
Nie sterczy kamień, ani krzyż,
U smętnej tej mogiły.

Tylko w nią zapadł promień ten,
Co mi ozłacał życie,
Tylko w niej leży cichy sen
I ufne serca bicie!

Marya Konopnicka.



Dział społeczno-ekonomiczny.

Modne ramy dla obrazów.

Nowoczesny kierunek sztuki zdobył sobie na każdym polu wielkie powodzenie, największem jednak zwycięstwem jego można nazwać reformę ram dla obrazów.

Wiemy przecież, jak trudno było przed sześciu lub siedmiu laty wybrać ładne, pojedyncze ramy. Dobre rzeczy były tylko w wielkich i drogich składach, mniejsi kupcy posiadali wzory przerażającej szpetności. Głównym charakterem ówczesnych ram było szukanie efektu za pomocą tanich i lichych środków, i pozory przepychu, nie mającego żadnej podstawy. Potworne złocone ornamenta raziły oczy, gładkie listwy orzechowe były nudne i monotonne. Ramy wywierały zatem wrażenie: albo podpadającej brzydoty, albo nużącej jednostajności, i chybiały zupełnie właściwego ich celu, to jest: podniesienia efektu obrazu, dla którego stawały się prawdziwym grobem.

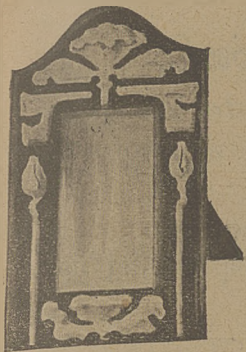
Teraz zmieniło się to zupełnie. W żadnej innej gałęzi przemysłu „en masse“ nie osiągnięto tak wysokiego stopnia, jak w fabrykacji ram. Stare wzory pleśnią w kątach, a w najnowszych nawet składach pokazują kupcy z dumą próby „najnowszego kierunku“.

Najważniejszymi zaletami obecnych ram są: dobroć materiału, zręczność formy i dobór kolorów. Głównem zadaniem ram jest, aby obraz uwydatniał się korzystnie na ścianie i aby efekt jego był jednolity. Dawniejsze „niespokojne profilowanie“ listwy wywierało wrażenie wprost przeciwne, użyto więc zupełnie gładkich, pojedynczych listew, kładzono je albo w prymitywnej formie płasko na ścianie, albo w skośnej, z wewnątrz, do środka. Największego efektu udziela obrazowi rama, spadająca ku ścianie, a więc ta, która przed okiem patrzącego niejako z ścianą wyrasta, i która obraz z płaszczyzny wywyższa.

Ozdoby ram polegają tak samo jak u innych mebli na kolorowym bejcowaniu materiału. Piękne, naturalne desenie drzewa są tutaj głównym warunkiem efektu. Ramy dębowe zachowują albo naturalny kolor, albo otrzymują bejęc zieloną, matowo-czerwoną, lub mieniącą się, fioletową. Desenie jesionu tworzą z dębem bardzo piękny kontrast, mahoń wygląda poważnie i wytwornie, całkiem zaś białe ramy, leżące n. p. na zielonych tapetach, wywierają wrażenie wdzięcznej prostoty i wyszukanej elegancji.

Obok ram gładkich mamy także rzeźbione lub w inny sposób zdobione, ale pomimo bogactwa ornamentów nie przypominają one niczem owych starych, brzydkich ram profilowych. Ramy ozdobne są także w rozmaitych kolorach, białe, czerwone, jasno i ciemno-zielone i t. p. Efekt ich podnosi jeszcze wazka, skromna, matowo-złota listewka, tworząca niejako przejście z ramy do obrazu.

są być ramy same. Miękkim obrazom pastelowym, krajobrazom o matowych kolorach, damy bezwątpienia ramy białe tak samo, jak i rysunkom, wykonanym t. zw. zimną igłą, w których celuje Francuz Hellen. Zwykle barwy obrazów wymagają natomiast kolorowych ram, i tak dla krajobrazów o świetniejszym kolorystyce nadawają się doskonale ramy klonowe. Nazwałam poprzednio zielone ramy,

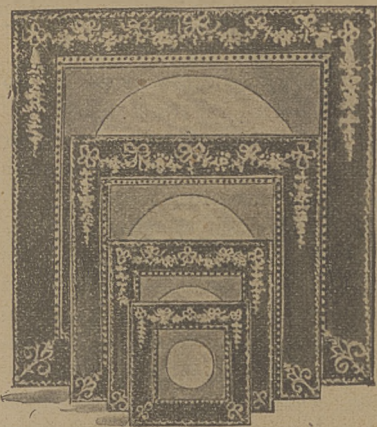


Rama do fotografii z okuciem koprowym.



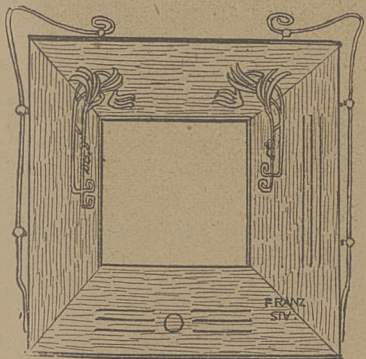
Matowo-zielona rama dębowa ozdobiona liściem.

Wybór mamy więc niezmiernie wielki, ale aby wybrać zawsze to, co najlepsze, potrzeba mieć zrozumienie rzeczy i dobry gust. Kupująca publiczność nie ma jeszcze tyle wytwornego smaku, ile go mają kupcy. Widziałam niedawno u ludzi, mających ładne i gustowne urządzenie, reprodukcje aniołów Fra Angelica w modnych, zielonych ramach. Był to dowód złego gustu, bo biedne aniołki nie wyglądały wcale pochlebnie w owych naturalistycznych ramach.



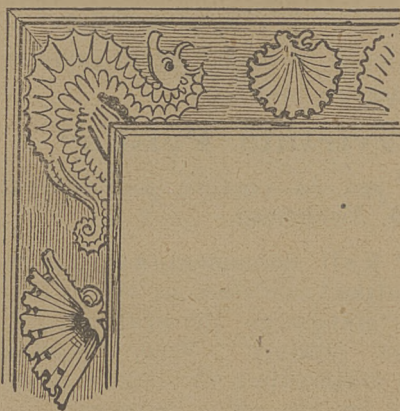
Rama mahoniowa z okuciem metalowym.

Ramy muszą być zawsze ściśle zastosowanymi do obrazu, inaczej traci jedno i drugie na efekcie. Obrazy n. p. Dürera, poważne i wzniosłe, muszą mieć inne ramy, niż zalotny portret pani Récamier Gérarda. Dla obrazów Dürera nadawają się ciężkie, ciemne ramy dębowe, dla portretu pięknej Francuzki, lekka rama w stylu empire z mahoniem, ozdobione emblematami brązowymi. Im powienniejszą i delikatniejszą jest treść ram, tem lżejszemi i zgrabniejszemi mu-



Rama stiukowa z okuciem mosiężnym.

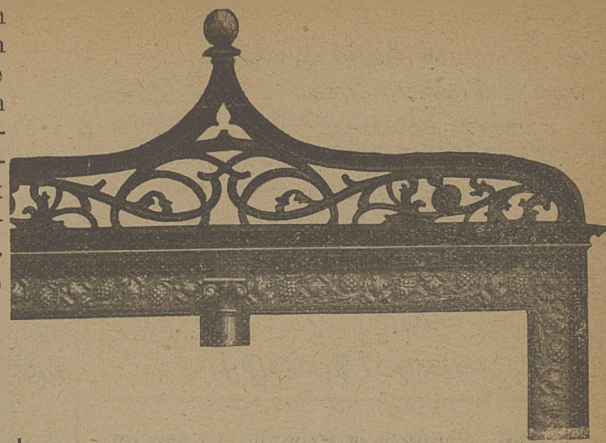
w których umieszczono aniołków Fra Angelica, naturalistycznymi. I rzeczywiście zdaje mi się, że zamiłowanie do tych nieomal prymitywnie wyglądających ram pochodzi z tych samych źródeł smaku, z których czerpiemy upodobanie do zupełnie pojedynczych motywów z natury, bez żadnego patosu, w sztuce malarzkiej. Obok sztuki realistycznej jednak mają jeszcze wszelkie prawa bytu sztuki: fantastyczna i symboliczna, którym taka skromna rama nie wystarcza, i które tworząc sobie w przepychu barw świat całkiem odrębny, pozostają sztukami wysokiego stylu. Dla tych obrazów nie nadawają się więc ramy realistyczne, tylko fantazyjne, i takich mamy również pod dostatkiem. Nie są one wprawdzie tak nowe, jak owe zielone, są bowiem pochodzenia archaistycznego, opierają się na starych wzorach kościelnych i odpowiadają zupełnie modnemu upodobaniu w antykach.



Rama dębowa z okuciem fantazyjnym.

Ramy tego stylu są listwy złożone, matowe, ozdobione zupełnie starymi, dziwnymi ornamentami. Wyglądają, jak starożytne rzeźby, których malowanie i złocenie otrzymało owe „przejściowe kolory“ wskutek długoletniego dymu kadzidła. Są to kolory „zamierające“, a tak modne w materyach i metalach! Przez złoto arabesków przebijają tu i owdzie matowo-czerwone i niebieskie barwy.

Te ramy nadawają się wybornie do reprodukcji starej sztuki, n. p. do dzieł mistrza Boticelli, które teraz w prze-



Rama w stylu „empire“ ozdobiona emblematami brązowymi.

pysznych fotografiach można nabywać, do modnych obrazów angielskich (Jones, Rosetti, Vatts) i do niektórych obrazów Böcklina, n. p. Pietà.

W porównaniu do lat dawniejszych można teraz łatwiej, a przedewszystkiem taniej, nabyć ram pięknych i wytwornych. I ozdoby ścian są obecnie tak liczne i tak każdemu przystępne, że potrzeba tylko trochę dobrej woli i gustu, aby upiększyć mieszkanie. K. O.



Modna rama z ozdobami snycerskimi i ornamentami.

Dzisiejszy numer „Pracy“ jest ostatnim w bieżącym kwartale, więc

czas największy zapisać „PRACE“ na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę.

Uwaga! Przy zamówieniu na pocztę winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę“ z **Poznania**.

➡ Już wielkanocny numer „Pracy“, pięknie ilustrowany i nadzwyczaj obfity w doborową treść, a mianowicie wydanie specjalnego numeru Sienkiewicza, przeniesie znacznie wartość całkowitego abonamentu.

Szanownych Czytelników w Galicyi

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

1 złr.

wprost do Administracji „Pracy“, albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 72 centy.

Początek drukujących się powieści, mianowicie „Krwawy chrzest“, „Pod maską“, „Szewczyk Szczygieł“ i t. d. otrzyma każdy nowoprzybyły Czytelnik bezpłatnie, jeżeli nam nadeśle kwit abonamentowy z poczty i znaczek dziesięciofenygowy na porto.

Wszystkich tych Czytelników, którzy reklamują u nas zaległe numera „Pracy“, upraszamy o przystanie na porto znaczka listowego dziesięciofenygowego.

Kwit abonamentowy na „Pracę“ na nowy kwartał zamieszczony jest na stronie 356-tej niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 1 marki posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Kto zjedna choćby tylko jednego abonenta i nadeśle odnośny kwit abonamentowy wraz z własnym kwitem, ten otrzyma tytułem premii, a więc *bezpłatnie*

Kalendarz Maryański

albo też ładną książkę.

Kto zjedna kilku abonentów i nadeśle kwity, ten otrzyma kilka ładnych książek.

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Komu zależy na tem,

by z czasem mieć okazałą

Biblioteczkę domową

polskich dzieł wyborowych,

a za tani pieniądź,

ten niech zaabonuje na pocztę

„Czytelnią Polską“

która kosztuje kwartalnie

tylko 50 fenyg.

W Austrii 30 centów,
a pod opaską 60 centów.

Kto raz „Czytelnią Polską“ zaabonuje, ten zostanie już stałym mój czytelnikiem.

„Czytelnia Polska“ wychodzić będzie

co tydzień

we formacie książki w objętości 16 stron i więcej, z pięknymi ilustracyami i t. d. Każdy tomik „Czytelni Polskiej“ stanowić będzie w sobie ile możności całość, tak, że każdy zeszyt będzie dla siebie osobną książką. Już w ciągu kwartału więc każdy abonent „Czytelni Polskiej“ posiadać będzie 13 tomików czyli w ciągu roku 52 zajmujących książek.

Za pomocą „Czytelni Polskiej“ każdy więc, choćby najbiedniejszy, przyjdzie bez kłopotu — tanim groszem — w posiadaniej

pokażnej biblioteki domowej.

Zatem — nieociągać się, tylko czemprędzej 50 fenygów w rękę i — dalej na pocztę!

Pomiędzy innymi „Czytelnia Polska“ będzie miała jeszcze i tę zaletę, że takową każde dziecko czytać może i czytać powinno!

Zwłaszcza dwory nasze powinny „Czytelnią Polską“ abonować po kilkadziesiąt egzemplarzy dla swego ludu roboczego.

Pierwszą seryę „Czytelni Polskiej“ rozpoczniemyj

obchodem jubileuszowym

naszego wielkiego pisarza — t. j. drukiem „Nowel Sienkiewicza“, z podaniem tegoż fotografii i odnośnem streszczeniem życiorysu.

Przy każdym rozpoczęciu druku jakiegokolwiek bądź utworu w „Czytelni Polskiej“ podamy zawsze fotografią autora wraz z objaśniającym tekstem. Wskutek tego przyczyni się „Czytelnia Polska“ do zaznajomienia szerszego ogółu czytelników z naszymi pisarzami.

„Czytelnia Polska“

zapisaną jest na poczcie pod rubryką t. 13 a 5 Nachtrag.

Kwit abonamentowy na „Czytelnią Polską“ zamieszczony jest na stronie 356 niniejszego numeru „Pracy“. Kwit ten prosimy odciąć, wypełnić i wraz z dołączeniem 50 fenigów posłać na pocztę lub też oddać listowemu.

Wiadomości.

Z powodu nawału nagłego materiału nie mogliśmy zamieścić nadesłanych nam rozmaitych artykułów i korespondencji, także oświadczenia Rady Nadzorczej Banku Związku Spółek zarobkowych, oraz oświadczenia adwokatów pp. Czypickiego, Schmidta, Węsierskiego i Wyszyńskiego. Uskuteczniemy to w następnych numerach.

Prosimy jak najuprzejmiej czytelników naszych, aby przy zakupach uwzględniali w pierwszym rzędzie tych panów kupców, którzy ogłaszają się w „Pracy“ i aby przy zakupach powoływali się zawsze na anonse w „Pracy“

Kto odebrał

„Jednodniówkę“,

a dotąd nie nadesłał pieniędzy, niech zechce kwotę tę przeznaczoną na

ubogich i chorych

ile możności jak najspieszniej nadesłać do

Administracji „Pracy“,
w Poznaniu, Rycerska 38.

Wszelkie oferty nadsyłane nam, a dotyczące inseratów, prosimy przysyłać w zapieczętowanych listach z wyraźnem oznaczeniem liter i znaków podanych w odnośnym inseracie, gdyż tylko w takim razie możemy je dalej wysłać interesentom. Listów bez oznaczenia liter i znaków uwzględniać nie możemy.

Ekspedycya „Pracy.“

Pan Jan Piszcz, rzeźbiarz artysta, z Galicyi, bawi w mieście naszym. Pan Jan Piszcz kształcił się we Lwowie, Monachium i Berlinie i między innymi modelował biusty Mickiewicza i Słowackiego.

Baczność! Agencye pocztowe rozesłały do abonentów pism notatkę tej treści: „Die Zeitungsbezugsgelder für das nächste Vierteljahr werden zwischen dem 20 und 25 März durch die Ortsbriefträger kostenfrei abgeholt werden, sind also nicht am Schalter einzuzahlen.“ — (Pieniądze za abonowanie pism na przyszły kwartał, będą ściągane przez listowych pomiędzy 20 a 25 marca bez żadnych dla interesowanych kosztów, nie należy więc abonamentu płacić na poczcie). — Abonenci nasi wyrażają słusne obawy, że na tem rozporządzeniu ucierpią pisma polskie. Może bowiem listowy nie zastać abonenta właśnie w tych dniach w domu, może właśnie abonent nie mieć pieniędzy itd. Obawiają się abonenci, że skoro przyjdą na pocztę, aby zapisać pismo, odpędzą ich od okienka z uwagą, że należało przez listowego zapisać. — My tych obaw nie podzielimy. Poczta chce zapobiedz zbytniemu przeciążeniu pracą urzędników pocztowych w czasie abonowania pism i dlatego upoważniła listowych do ściągania opłaty za pismo. Kto jednak nie zapisał pisma u listowego, może iść śmiało do agencji pocztowej i żądać tam zapisania pisma. Poczta nie odmówi i każdego czasu abonament przyjąć musi.

Teatr. Wystawiona w ubiegłym tygodniu trzy razy pełna wybornego humoru komedia p. t. „Jarmark małżeński“ miała niezwykle powodzenie. Liczne audytoryum oklaskiwało bezustannie dobrą, raźną i komiczną grę artystów. Kto więc chce się rozweselić i szczerze ubawić, niech pospieszy po całodziennym trudzie do teatru na „Jarmark małżeński.“

W sobotę, d. 24go bm. premiera: „Romantyczni“ przez Edmunda Rostanda. Jestto arcydzieło, które po pojawieniu się zyskało

Humorystyka.

Marzec na wsi.

Znikają mrozy, pierzchają lody,
Z śniegu oczyszcza się gleba,
Żeby nie zaznać przy żniwach szkody,
Powoli orać potrzeba.

Żałośnie bardzo ryknęły woły,
Słyszac wiosenne to hasło —
Wychudły w zimie, bo spichlerz goły,
Więc się mizernie je pasło.

Służba folwarczna biedzi się w nędzy,
Śle moc błagalnych ci słówek,
Chce ordynaryi oraz pieniędzy,
Bo nastał ciężki przednówek.

A tutaj zboże będzie nie prędko,
Nierychło dadzą plon niwy —
Już się nie cieszysz wintem, gawędką,
Boś w troskach, kmieciu pocziwy.

Jeśli urządzisz się bez hałasu,
To możesz zdobyć mamonę:
Sprzedaj czempredzej kawałek lasu,
Jeśli.. nie wzięty w ochronę.

Z motywów ludowych.

Siwy gołębeczek
Grucha sobie — grucha!
Mówi parobeczek:
— Moja żonka głucha.

Ja wołam obiadu —
Ona gadu, gadu...
Wykipiała rzepa!
— Moja żona ślepa...

A nuże Moniko!
Wykipi ci mliko,
Przypali się kasza;
Dolaż — dola nasza!

Ale chociaż żonka
I ślepa i głucha —
Parobeczek w dłonie
Na mrozie nie chucha.

Jest na grzbiecie kozuch,
W komorze słonina,
W skrzyni karbowaniec,
Na łóżku pierzyna.

Siwy gołębeczek
Grucha sobie — grucha!
Dobra żonka z wianem,
Choć ślepa i głucha. A. W.

Myśli zwierząt.

Ta nowa siła nie źle ciągnie, lecz
rzeć jak ja jednak nie potrafi —
powiedział koń patrząc na pędzący tramwaj
elektryczny....

Najprzód interes, a potem przyjemność
— mruczał kot, chrupiąc złowionego sł-
wika....

Coby robili ludzie, gdybym niezanie-
czyszczała luster — brzęczała sobie
mucha....

Gada sam nie wiedząc co — zawy-
rokowała papuga, wysłuchawszy prelekcji
filozofa....

Nie gniewaj się na mnie, kochane
słonko, że mojem pianiem zmuszam
cię do wstania — rzekł prostoduszny
kogut....

Róża jest do mnie podobna, po-
nieważ także ma kolce — zauważył
jeź....

Niech cię Pan Bóg wynagrodzi —
oświadczył wdzięczny rak, gdy go ku-
charka włożyła w zimną wodę, do garnka
na kominie....

Na balu.

— Matka: Pan Józef cały wieczór
dzisiaj z tobą tańczył, chyba ci się
oświadczył?

— Córka: Tak mamó!

— Chwała Bogu! I cóż powiedział?

— Córka: Oświadczył mi, że się
nigdy nie ożeni.

Z karnawału.

„No... Jakże tam karnawał?“

— Pytano pana Jana —

— A niech go wszyscy djabli!

Oto... proszę pana

Byłem na kilku balach

Z córkami i żoną...

Zgnieciono mi szapoklak —

Pałto zamieniono,

Nowiuteńkie kalosze

Komuś się przydały,

Zgubiłem rękawiczki

A... córki zostały!

Autor u Reżysera.

Reżyser: Sztuka pańska jest dobra,
zupełnie dobrą, tylko musi pan jeden
akt wykreślić.

Autor: — Ależ, panie reżyserze, to
jest przecie jednoaktówka.

Reżyser: — To nic nie szkodzi, tem
lepiej.

FABRYKA papierosów i tureckich tytoni „VULKAN“

I. F. J. Komendziński w Dreźnie

zwraca Szanownym Amatorom łaskawą uwagę
na swoje papierosy i tureckie tytonie, które
w wszystkich główniejszych odnośnych handlach
są do nabycia. Podróżujących z zasady nie wy-
syla, oblicza natomiast przystępniejsze ceny i od-
stawia lepszy towar. 54

Nowości

na sezon wiosenno-latowy nade-
szły w pelerynach, kabatkach i płas-
szczach dla pań, panienek i dzieci.

Kapelusze

ubrane i nieubrane, wszystko w naj-
nowszych fasonach i wielkim wy-
borze po cenach najtańszych poleca

Skład płaszczy i kapeluszy damskich.

A. Depczyńska,

Jezuicka ul. Nr. 12 (narożn. Rynku).

Zeszloneczne kapelusze przera-
biam podług najnow. fasonów.

olbrzymi rozgłos w całym świecie, równie jak
drugi utwór tego autora: „Cyrano de Ber-
gerac.“ — „Romantycznych“ porównać mo-
żna z pierwszym powiewem wiosny po zimo-
wej grudzie — tyle w nich ciepła, tyle poe-
zyi, że dusza zamierzająca prawie, pod ich
technieniem ożywia się na nowo. Robota zaś
w nich jest subtelna, jak koronka utkana
z nici pajęczych.

W niedzielę, dnia 25go po południu po
cenach do połowy znizonych piękny dramat
Józefa Korzeniowskiego p. t.: „Dymitr i Ma-
rya“, a wieczorem dnia tegoż „Dymitr Sa-
mozwaniec, car ruskim“, Fr. Schillera i H. Lau-
bego, utwór, należący do pierwszorzędných
dzieł literatury scenicznej, który dnia 22 mb.
był wystawionym po raz pierwszy na benefis
p. Czesława Knapczyńskiego bardzo staran-
nie i z wielkiem powodzeniem.

Do skompletowania kwartalników „Pracy“
potrzebne nam są numera: 7, 8 i 10 z roku
bieżącego, o których nadesłanie upraszamy
niniejszem naszych Czytelników, za co im się
wywdzięczymy w inny sposób.

Agentura „Pracy“ na Gniezno i okolice
znajduje się u p. Majerowicza w Gnieźnie
przy ulicy Trzemeszeńskiej. Tamże można
zaabonować „Pracę“ od każdego czasu.

Gdzieby się mógł osiedlić z powodzeniem
szklarz-rodak? Łaskawe informacje prosimy
nadesłać pod adresem Administracji „Pracy.“

Największy polski skład towarów łokcio-
wych w Mogilnie posiada rodak nasz p. Ja-
recki. Specyalność materje na suknie. Bli-
sze szczegóły podane są w zamieszczanym
stałe inseracie, na który zwracamy baczną
uwagę Szanownym Czytelnikom Mogilna, oraz
bliźszej i dalszej okolicy.

„Lech“ rozpocznie z początkiem przyszle-
go kwartału druk powieści, zatytułowanej „Dja-
beł w szkole“, napisanej po niemiecku przez
ks. prałata Bolandena, a tłumaczonej na je-
zyk polski przez Janka z nad Wisły. Za
rzekome tłumaczenie i napisanie przedmowy
do powyższej powieści usunięto, jak wiado-
mo, z urzędu obecnego redaktora „Lecha“
p. Palińskiego.

Zaszczytnie znaną fabrykę tytoni i pa-
pierosów „Samson“ p. T. Marwega w Dreźnie
nabył na własność p. Józef Ciężkowski, na
co zwracając uwagę Szanownym Czytelnikom,
polecamy ich względem nowonabywcę (patrz
inserat).

Na anons pani A. Słomińskiej w Pozna-
niu, właścicielki pensjonatu, zwacamy uwagę
Szanownym Czytelnikom.

Złoty jubileusz kapłaństwa obchodzili dnia
15-go b. m. ks. prałat-kanonik Dorszewski,
członek kapituły gnieźnieńskiej, ks. prob.
Framski z Popowa kościelnego pod Skoka-
mi i ks. radzca Wiesner z Święcichowy. Czcio-
godnym Jubilatam przesyłamy serdeczne ży-
czenia „Ad multos annos!“

Od Redakcyi.

Panu Ludwikowi U. w S. — Za po-
danie nam adresów dziękujemy najserdeczniej.
Kalendarz „Katolika“ już u nas wyczerpany
zupełnie.

Panu J. S. 99. w Śremie. — Ogłosze-
nie kosztować będzie za 1 raz 3, za 2 razy
5 mk., za 3 razy 6 mk. Prosimy o łaska-
wą odpowiedź i nadesłanie pieniędzy.

Bezplatną małą galerię obrazów posiadać może każdy, kto się uda po nie do firmy C. Lück w Kołobrzegu (Colberg) — fabryki, wyrabiającej słynny na świat cały C. Lücka miód ziołowy zdrowia, oraz esencję życia Fr. Fernes'la. Firma ta wysyła każdemu obrazki kolorowe bezpłatnie, kto się po nie zgłosi.

Rodzice zgötują dzieciom niemałą radość, gdy im podarują taką kolekcję pięknych kolorowych obrazków.

H. Rogaliński
Taksator przysięgły

na ruchomości miejskie i wiejskie, jako też na nieruchomości, mieszka przy ul. Kopernika 7 II. 199

Dominium **Montowo** (West Pr.) potrzebuje **młynarza** na wysokie zasługi i deputat. Także potrzebny **pisarz** na pensję 200 do 300 mk. 198

Bydgoszcz.
Nauczycielka egzam. przyjmując **uczennice na stancją**, zapewniając troskliwą opiekę i pomoc w nauce. Konders. franc. i lekcję muzyki w domu. Adres wskaże Exped. „Pracy“ 196.

Potrzebny jest od zaraz lub 1. VII. r. b. **Leśnik** kawaler, do Królestwa, na wysokie strzałowe i 120 rubli rocznie, wolne pranie i utrzymanie z pierwszego stołu. Do objazdu koń i siodło. Warunki: musi być dobrym myśliwym i dobrze strzelać. W lesie potrzebuje tylko zasiać szkółki i poprowadzić kultury, które się w małych rozmiarach prowadzą.

Zgłoszenia z odp. świadectw do Exp. „Pracy“ w Poznaniu pod Lit. W. H. K.

Największy wybór nowości literackich. 197 **Księgarnia Polska** (W. Tempłowicz.) **Abonament czasopism krajowych i zagranicznych.** **Poznań. — Hotel Francuzki.**

Najlepsze w swoim rodzaju! Najzdrowsze w swoim rodzaju! Przeszło 500,000 rodzin używało tegoż. Od 60 lat w użyciu. Dowód dobroci i nadzwyczajnych własności. Rzetelny środek domowy, pomocniczy i sprawiaczy ulgi. Nie powinno zbywać w żadnym domu! Zdumiewająco pomyslnie wyniki. Dobrowolnie udzielone, świetne uznania, tysiące dziękczynnych listów! Nazwisko, etykieta opakowanie ochronione przez cesarski urząd patentowy. Uznane jako najlepszy i najskuteczniejszy środek, sprawiaczy ulgi w kaszlu każdego rodzaju, kaszlu dzieci, koksłusz, kaszlu duszącym, kaszlu kureczowym, kaszlu lechacym, kaszlu, w którym krew się okazuje, w zaflegmieniu, także najsilniejszego rodzaju, duszności i chrypie, odwilżający, uspakajający kaszel, łagodzący i odwilżający. Jako środek odżywiający i wzmacniający u osób chorych na żółtek i słabowitych, w blednicy, bezkwiśtości, influenecie, suchotach szczególnie wielkiej wartości.



Rysunek zmniejszony czerwonego opakowania.

znanej i znacznej firmy C. Lücka w Kołobrzegu są znakomitymi środkami domowymi, które skutkiem ich działania i rzetelności zdobyły cały świat. Żądać należy za darmo sposobu użycia od C. Lücka z Kołobrzega. Cena but. 1 mk., 1,75 mk. i 3,50 mk. Prawdziwe tylko w aptekach do dostania. Części składowe: 180 kg. czyszczonego miodu 36 kg. soku jarzębinowego, 36 kg. destylowanej wody, 10 kg. wina białego, 1,2 kg. podbiału pospolitego, babki lancetowej, przetacznika, krwawnika, nogietka, 0,6 kg. nostryka, kłębu węzłownika, mchu płucnego, po 2 kg. korzenia omanowego, korzenia goryczki, korzenia folkowego i żywakostu.

Nie powinno zbywać w żadnej rodzinie jako pierwsza pomoc.

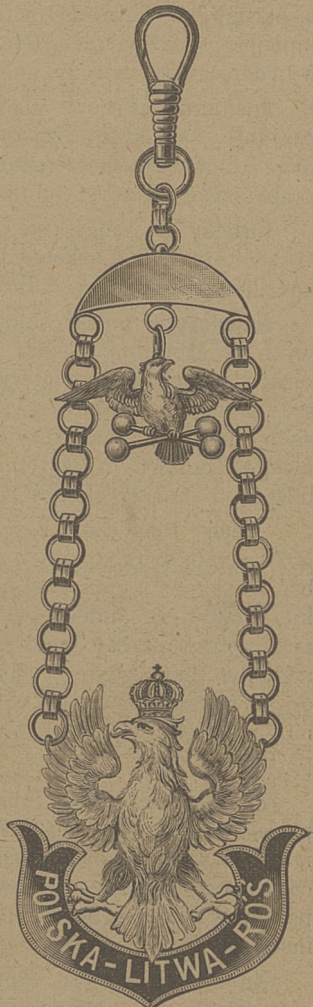
Opakowania, wyglądające inaczej, jak powyżej zamieszczony rysunek, czerwonego opakowania, należy odrzucić jako nieprawdziwe. Nie ma żadnego równowownika, który mógłby zastąpić prawdziwe ziółkowe preparaty Lückal C. Lücka miód ziółkowy zdrowia wyrobu C. Lückal z Kołobrzegu może być tylko jak prawdziwy sprzedawany.

Wypróbowany miliony razy. Co raz większy popyt. Prawdziwe ziółkowe preparaty Lückal starej, Seil 1840 allein echt hergestellt Originalfabrikat C. LÜCK, COLBERG

Cukrownia w Niemczech zachodnich poszukuje na następną kampanię tj. od początku października ca **60 robotników**

na czas kampanii buraczanej, którzy za wysoką płacę, przeważnie akordową, zatrudniani będą częścią w fabryce, częścią po za fabryką przy wyładowaniu buraków itd. Celem wystarania się o tych robotników poszukują się przedsiębiorcy, którzy ich dostarczą za prowizją.

Oferty franko pod **M. C. 1438** do **Haasensteina i Voglera** A. G. 191 **Kolonia** (Köln.)



„Poszukuję **Nauczycielki** egzaminowanej muzycznej do dwojga dzieci. **Linowiec**, per Montowo Westpr. 176.

Ucznia, 177. który się już niejakiś czas uczył krawiectwa i ma chęć się dalej wydoskonalic przyjmie zaraz lub później **Sikorski**, mistrz krawiecki. Berlin, Neue Rosstr. 9.

Panienci, chcące się wyuczyć krawiecczynny, mogą się zgłosic. **Uczennice** zdolne po wyuczeniu dostają stałe zajęcia. Nauka bezpłatna. **Bronisława Galecka**, konfekcyja damska, Jezuicka ul. No. 15. I. 195.

Piękne wielkie place budowlane w Wrześni, szczególnie nadające się do wybudowania na nich małych **pomieszkań dla urzędników, rzemieślników i robotników** są bardzo tanio na sprzedaż. 181. **K. Weeber**, we Wrześni.

Domin. Gościejewo p. Koźmin 109 potrzebuje od 1 kwietnia r. b. **stelmacha-kołodz. z zacieźniakiem.**

Tylko 10 m. kosztuje piękna dewizka do zegarka szczero-srebrna naszego własnego nakładu sądownie zastrzeżona, stósowna dla każdego, także dla Sokołów wyrób nadzwyczaj ozdobny, pełna i ciężka. Tylko u nas do nabycia. **Cennik z nowościami darmo i franko.** **M. Szczepaniak i Spł. Krotoszyn, rynek.** Skład zegarków, towarów z srebra, złota, alfenidy i brązu, pojedyncze i całe garnitury. 181. Także dla kościołów.

Tapety tylko w nowych pięknych deseniah poleca rolę od 15 fen. aż do najpiękniejszych salonowych. Elblądzki interes wysytkowy tapet **C. Quintern.** Próby wszędzie franko. Właścicielom domów największy rabat. 190

Tylko kapsułki **Sanidowe** (10 gr. San., 3 Sal., 3 Cub., 1 Terpinol) skutkują natychmiast i bez rycydywy przy upławach, katarze pęcherza i t. d. (Zadne wstrzykiwanie.) Cena **3 mk.** za fiaskkę. 1057 Skład główny: **L. Hofmann**, apteka, Schkenditz — Lipsk. W Poznaniu: **Czerwona Apteka, Rynek 37.**

Instrumenta muzyczne wszelkiego rodzaju z pierwszej ręki z fabryki **Herm. Oskar Otto** Markneukirchen Nr. 610. Wielki wybór Główny katalog illustrowany gratis i franko.

Krawiec doskonały, porządny z lepszym wykształceniem szkolnym który ma zamiar w kupiectwie i kroju wydoskonalic się znajdzie dobre i stałe miejsce. **M. F. Orłowski**, skład garderoby, Król. Huta (Königshütte O/S.

Piękny pokój meblow. na I. piętrze o dwóch oknach od frontu, obszerny, z osobnym wejściem, na ożywionej ulicy, przed domem przystanek kolei elektrycznej, jest od każdego czasu do wynajęcia. Oferty zapieczętowane złożyć w eksped. „Pracy“ pod znakiem **Z. R. 1900.**

„Szukam 152 **dzierżawy folwarku** lub probostwa wielkości 300—500 mórg. Oferty pod lit. **S. nr. 152** do eksp. „Pracy“.

Włóдарz licz. 50 lat, bez familii, który posiada chlubne świadectwa, pragnąłby przyjac miejsce od 1. 4. r. b. **jako podwórzowy.** Łask. zgłoszenia do 154 **Fri. Jabłońskiego** p. adr. St. Kieński, Grodzisk, Graetz, Bez. Posen.

Zdolnych 102 **agentów** na prowincją Poznańską, za dobrą prowizją poszukuje fabryka narzędzi rolniczych. **Akc. Tow. A. Lehnigk**, Generalna Agentura. Poznań, ul. Wiktorji Nr. 12 narożnik św. Marcina.

Poszukuję natychmiast zdolnej 144 **Dyrektoryzy.** **Helena Józewicz**, magazyn mód, Katowice, Górny Śląsk.

Ucznia przyjmie 183. **B. Sadowski**, zegarmistrz **Krotoszyn.**

Ucznia silnego poszukuje od Wielkanocy do mego browaru parowego. **W. Łukowski**, Rawicz. 194.

Panna do towarzystwa w lepszym domu szuka od 1-go kwietnia miejsca. Oif. do Exp. „Pracy“ pod lit. **S. P. 100.** 178.

Uczeń, porządny rodziców, mający chęć dokładnie wyuczyć się tapicerstwa oraz dekoracyi, może się zgłosic zaraz **Paul Vogt**, Tapicer i dekorator. Król. Huta Königshütte O/S. Kaiserstr. 186.